Nr. 6. Lwów, dnia 1. Czerwca 1883. Rok VI.



PRENUMERATA ROCZNA:
10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Sprawy Galic. Towarzystwa Łowieckiego.

Na posiedzeniu Wydziału z dnia 27. Kwietnia przewodniczył Dr. Michał Gnoiński, wiceprezes Towarzystwa, obecnymi byli członkowie: Bogdan Hipolit, Exc. hr. Dzieduszycki Włodzimierz, hr. Dzieduszycki Tadeusz, Dr. Rieger Zygmunt, Simon Edward, Zontak Władysław.

Odczytano naprzód pismo niższo-austryackiego Towarzystwa łowieckiego w Wiedniu, którem wzywa ono nasze Towarzystwo do wysłania delegata na wstępną naradę, mającą się odbyć w Wiedniu w połowie Maja, celem zwołania w lecie kongresu myśliwych z wszystkich krajów, należących do dzierżaw monarchii austryackiej. Po żwawej dyskusyi zaproponował Exc. hr. Włodzimierz Dzieduszycki na delegata ks. Adama Sapiehę, z którym też przyrzekł się w tym względzie porozumieć. Zapadła więc uchwała, aby tę sprawę odroczyć do chwili, w której wynik porozumienia z ks. Sapiehą będzie wiadomy.

Następnie uchwalono, aby karty członków, opatrzone przepisami, dotyczącymi praw i obowiązków delegatów, służyły jako karty legitymacyjne dla delegatów.

Sprawę wydawnictwa kalendarza myśliwskiego oddano redaktorowi „Łowca" z poleceniem, by prosił Dra. Nowickiego o zapełnienie działu rybackiego, by po wygotowaniu materyału przedłożył go bezzwłocznie komisyi redakcyjnej, następnie Wydziałowi. Postanowiono odbić 1000 egzemplarzów kalendarza.

Uchwalono dać p. Karolowi Hostońskiemu pisemne ze strony Wydziału uznanie dla pigułek jego wynalazku, nader skutecznych, jak się z licznych świadectw okazało, w chorobach psów, i zaasygnowano temuż subwencyi 100 złr. na cel rozszerzenia tych pigułek.

Polecono wykonać odbitkę artykułu hr. Kazimierza Wodzickiego p. t. Ruja sarn. Z odbitych egzemplarzów przeznacza autor 25 dla kameralnych leśniczych.

Na tem zamknięto posiedzenie.

Na posiedzeniu Wydziału z dnia 6. Maja obecni byli: Dr. Gnoiński Michał, wiceprezes Towarzystwa jako przewodniczący, członkowie: Łoziński Józef, Dr. Rieger Zygmunt, Simon Edward, Zontak Władysław.

Przedmiotem obrad był jedynie wybór delegata do Wiednia na naradę wstępną w celu zwołania kongresu łowieckiego. Ponieważ książę Adam Sapieha nie mógł przyjąć delegacyi, uproszono przeto Dra. Zygmunta Riegera, iżby na naradzie łowieckiej w Wiedniu Towarzystwo nasze reprezentował, o czem natychmiast zawiadomiono niższo-austr. Towarzystwo.

Z PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ.

PRZEZ

HENRYKA SIENKIEWICZA.

(Dokończenie).

Wilki mianowicie rozmnożyły się tak nadzwyczajnie, że w ciągu kiku lat pożarły kilkadziesiąt sztuk. Leśnicy nie śmieli chodzić po puszczy. Jest dotąd tradycya, że wilki oblegały ich zimową porą nawet w chatach. Nocami ostępy brzmiały takiem wyciem, że całe wsie ogarniało przerażenie. Potem wydano rozkaz leśnikom wytępiania wilków, których liczba zmniejszyła się znacznie. Dziś są one rzadkością w puszczy i trzymają się tylko w części boru zwanej Niezanowym rogiem. który nawet w zimie z powodu niezamarzających oparzelisk jest prawie zupełnie nieprzystępnym.

Niewielka stosunkowo liczba dziś istniejących żubrów da się wytłumaczyć po części złagodzeniem kary za zabijanie tych zwierząt, po części rozrastaniem się wsi. Jest ich w puszczy kilkanaście. Ludność wzrasta, osady rozszerzają się, ruch na drogach wiodących przez ostępy zwiększa się — nic więc dziwnego, że płochliwy zwierz cofa się w coraz głębsze uroczyska, nie czuje się swobodnym i nie mnoży się jakby mógł, gdyby nic nie mąciło ciszy leśnej. Chłopi obowiązani są stawiać zimą zebrane stogi z tomki i miodunki, ale stawiają je także w pobliżu wsi i dla swego bydła. Owoż żubry, zimą mniej płochliwe, częstokroć zachodzą i do wiejskich stogów. Wówczas cała wieś wypada, krzyczy, strzela na wiatr i płoszy zwierzęta, które potem i do stogów dla siebie przeznaczonych zbliżają się z obawą, lub nie zbliżają się wcale, zadawalniając się trawą, wydobywaną rogami z pod śniegu i przymierając głodem.

Prócz tego łudziłby się, ktoby sądził, że dziś nie ma już kłusowników i szkód między żubrami. Wiemy od miejscowych ludzi, że na chrzciny, wesela i tym podobne uroczystości do dziś dnia zastawiają w chatach zubrze mięso. Od każdego też chłopa, zaskarbiwszy sobie jego ufność, można nabyć rogi lub skórę, każdy bowiem jest potrochu kłusownikiem. Latem trudniej im wyprawiać się na łowy, ale zimową porą, w czasie zawiei, gdy szum wiatru głuszy strzał, a śnieg zasypuje ślady, wyprawiają się w saneczkach na upatrzonego i z podobnych wypraw rzadko wracają bez łupu. Słyszałem też o pewnym żydku, zamieszkującym daleko od puszczy, który sąsiadującemu z nim obywatelowi ofiarował się sprzedać żywe ciele żubrowe. Obywatel propozycyę odrzucił, świadczy ona jednak, że kłusownicy nie są mytami, a wyniszczanie przez nich żubrów nie stało się li tylko tradycyą. Osadzić w puszczy tylko leśników, przenieść z niej wsie gospodarskie i uczynić ją jednolitym borem, oto byłby środek trudny wprawdzie, ale skuteczny do pomnożenia żubrów. Przekonanie zresztą, że nie mogą one żyć gdzieindziej, jak w puszczy Białowieskiej, jest mylnem. Naprzód, kilkadziesiąt sztuk żyje w Świsłockiej, oddzielonej od pierwszej Narwią; powtóre mnożą się podobno na Szląsku u księcia de Pless, z kilku osobników darowanych mu przed niedawnym czasem. Łączą się także z bydłem domowem i wydają dziwne potomstwo, potężne, z wysokim garbem nad przedniemi łopatkami, z szerokim łbem i bujnym zarostem czoła i brody. Póki małe, mieszańce owe są łaskawe i wesołe, z wiekiem stają się płochliwe, dziczeją i roztrącają swojskie bydło. Potomstwa dalej nie wydają, co dowodzi, że żubr jest odmiennym od naszego bydła gatunkiem.

Obliczanie żubrów odbywało się dawniej nader prostym sposobem. Cała puszcza była podzielona na dwanaście straży, które miały kształt trójkątów, zbiegających się wierzchołkami we wsi Białowieża Nowa; podstawę zaś trójkątów stanowiły brzegi puszczy. Straże były następujące: Augustowska, Narewska, Browska, Hajnowska, Leśnianka, Starzyńska, Stołpowiska, Krakowska, Okolnicka, Swietliczańska, Pobielska i Dziadowlańska. Każda była pod zawiadywaniem starszego leśnika i dzieliła się na ostępy, nad którymi czuwali młodsi leśnicy. Owoż gdy śniegi spadły, obliczano żubry w ten sposób, że każdy młodszy leśnik karbował na kiju wedle śladów wszystkie sztuki, które weszły do jego ostępu lub z niego wyszły. Te, które wyszły, powinny się były znaleźć zakarbowane w sąsiednich ostępach jako przybyłe. Wieczorem składano wszystkie kije u nadleśnego i wówczas rachunek już był łatwy, bo żadna sztuka nie mogła być ani pominiętą, ani porachowaną dwa razy. Być może, że tego sposobu używają jeszcze i dzisiaj, o ile pozwala na niego nowy podział i nowe, odmienne gospodarstwo w puszczy. Trafiliśmy właśnie na jakąś komisyę, która zabrała się do nader surowego obrachunku z miejscową administracyą. Stąd złe humory i niepokój. Rzeczywiście administracya tak olbrzymiego lasu nie jest łatwa, ale też bez zaprzeczenia ogromne skarby marnują się w puszczy. Sosny masztowe sprzedają się po pięćdziesiąt kopiejek i dla trudności przewozu nikt ich kupować nie chce. Drogi wprawdzie są niezłe, ale nie ma szos, a choćby i były, zawsze przy handlu drzewem komunikacya lądowa jest trudną i niepożyteczną. Rzeki puszczańskie bywają spławne w czasie przyboru wody, mało jednak wychodzi drzewa i niemi. Tymczasem wychodzić powinno, byle użytkowano z niego rozumnie i tamowano nadużycia. Mniemanie, że dla dobra lasu należy go zostawić nietkniętym, jest mylne. Przedewszystkiem należy go czysto utrzymać — a jakże pod tym względem wygląda puszcza? Oto na ogromnych przestrzeniach wszędzie niemal leżą zwały drzew. Stosy te spruchniałe i gnijące piętrzą się czasem na kilkanaście stóp wysoko. Nad nimi jeszcze sterczą jak domy olbrzymie wykroty. Stare drzewo padając, wyrywa całą przestrzeń ziemi, którą obejmowały jego korzenie. W wyrwanem miejscu tworzy się dół, w którym zbiera się woda deszczowa. Dziwny i przerażający widok przedstawiają takie ostępy: grunt porwany, pełen zasadzek, pnie, wykroty i suche, powykręcane rozpaczliwie gałęzie, które pokrywa mech lub plugawa wilgoć, wypełniają całą przestrzeń; wśród chaosu drzewnego prześwieca bagno, wszystko razem pomięszane, połamane, zniszczone, dzikie, zmarłe i gnijące — oto obraz. Nawet powietrze tam ciężkie, przesycone wonią próchna i zgnilizny. Cisza, słychać tylko kowanie dzięcioła, który wśród próchna znajduje łup obfity. Jest to ojczyzna skórników, gnieżdżą się one tu milionami. Stąd przenoszą się na inne drzewa, toczą je, wysysają. Żubr i jeleń tu nie zachodzą, łoś tylko wyleguje się bezpiecznie w bagnisku. Mimowoli przychodzą na pamięć słowa Mickiewicza:

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?

Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice.
Wieść tylko albo bajka wie co się w nich dzieje.
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem męztwem,
Dalej spotkać się z większem masz niebezpieczeństwem;
Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe na poły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą
(Wielkie jest podobieństwo, że diabły tam siedzą);
Woda tych studni śklni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
Od której drzewa w koło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc brzydkiemi grzybami brodate,
Siedzą w około wody, jak czarownic kupa
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.
Za temi jeziorkami już nietylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem;
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.

Ile szkody przynoszą puszczy takie ostępy, łatwo zrozumieć. Dodajmy do tego, że każde ze starych drzew padając, łamie i gniecie w upadku dziesięć młodszych, zdrowych jeszcze. W Niemczech nie pozwalają starym olbrzymom usychać i umierać na pniu — tu miejscami na całych morgach nad młodym lasem wznosi się las sosen uschłych. Nic posępniejszego jak wrażenie, którego się tam doznaje. Na drzewach nie ma nietylko igieł, ale i kory. Są to nagie, olbrzymie szkielety, poczerniałe od wiatru i słońca. Całość wygląda jak jaki cmentarz leśny. Należałoby takie trupy uprzątać, nim zostaną trupami, bo powtarzam, są to zmarnowane skarby, które miast korzyści, szkodę jeszcze przynoszą. Wartoby dla ich spławu i koryta rzek uregulować. Zysk ze sprzedaży opłaciłby robotę, administracyę i przyniósłby jeszcze czysty dochód. Dlaczego tak się nie dzieje, trudno wiedzieć. Może rąk brak, choć gdy się pomyśli, ile jest wsi w puszczy, jaka łatwość robotnika, i to przypuszczenie nie zdaje się prawdopodobnem. Może komisya obecna niejasne dotąd przyczyny wyjaśni.

Czas schodził nam wieczorami na słuchaniu głosów jeleni, we dnie na wycieczkach i zabieraniu znajomości z ludem puszczańskim. Jeździliśmy na wózkach budników do Zamczyska, do Białowieży i w stronę Browska. Niebo dopisywało nam znakomicie, dni były prawdziwie jesienne, blade, ale pogodne tą smętną i chłodną pogodą jesieni, która zdaje się być ostatnim uśmiechem słońca przed zimą. Zabarwiony na czerwono liść spływał miljonami z drzew na ziemię, napełniając puszczę szeptem łagodnym. W tej całej leśnej naturze bywały chwile takiego spokoju, jakiego napróżno szukać po za nią. Wśród tego spokoju możnaby zapomnieć o wszystkiem, nawet o sobie samym; można rozmiłować się w tej puszczy, którą jesień maluje w barwy rozmaite. W głębokich przestrzeniach leśnych grają zielone, żółte i czerwone odmiany liścia, oblane bladem światłem dnia. Ileż tam tonów, ile odcieni, ile stopniowań i łagodnych połączeń każdej barwy, a nad wszystkiem jakaś melancholia jesienna. Taką wzorzystą puszczę widzieliśmy szczególniej podczas wycieczki do Zamczyska, w ostępie tym bowiem klon, dąb, sosna i inne drzewa rosną w pomięszaniu obok siebie. Ostęp zwie się Zamczyskiem, gdyż niegdyś stał tam zamek. Ale naprózno pytać ludzi i kronik, kiedy to było. Dziś są to kupy ogromnych głazów, między którymi wyrastają stuletnie drzewa. Czasem laska wetknięta między dwa głazy, zapada nagle jakby w jakieś podziemie, czasem grunt się ugnie pod nogą, czasem uwagę zwróci dół czworoboczny, ubramowany głazami, widoczne ślady budowy, ale nic więcej. Pod staremi drzewami szzarzeje gęstwina umarłych dąbków i grabów, pokrytych srebrnym mchem. Tu rośnie także suchedrzewko, dziwna roślina, która wydaje się uschłą, a jednak żyje i rośnie. Chłopi mówią, że nie ma jej nigdzie za puszczą, w puszczy zaś upodobała sobie szczególniej tę miejscowość.

Kto stawiał zamek? Może Jadźwingowie, może który z książąt litewskich? Są to tylko przypuszczenia. Wieki przeszły nad tą ruiną i dziesiąte pokolenie drzew na niej wyrasta. Tylko baśń jak nić pajęcza czepia się gruzów. Budnik, któremu nocą wypadnie przejeżdżać koło Zamczyska, przejeżdża szybko i żegna się. Mówią, że gdy jest ciemno i ciepło, błędny ognik skacze z kamienia na kamień. Mówią, że są tam podziemia. Leśniczy Tołścik, człowiek dość wykształcony, z zupełną wiarą zapewniał nas, że raz znaleziono pieniądze, ale że się w chwili, gdy ich dotknięto, zapadły. Budnicy wierzą w to święcie, i ktoby dłużej pobył między nimi, tenby zapewne mógł zebrać sporą wiązkę podań, a może i pieśni, które jak „arka przymierza“ połączyły dawne lata z nowemi.

Na drodze do wsi Białowieży spotykasz się już nie z legendą, ale z tradycyą historyczną. Obok drogi wznosi się góra zwana Batorowa. Każdy budnik opowie podróżnemu, że na szczycie jej zasiadł do uczty „bardzo mocny“ król, który przed tem kilka dni w puszczy polował i nabił żubrów i niedźwiedzi co niemiara, a do tego oszczepem. W samej wsi Białowieża jest jeszcze wyraźniejszy ślad przeszłości. Wznosi się tam czworokątny słup kamienny, na którym czytasz napis, że Najjaśniejsze państwo, król polski, elektor saski z królową jejmością i królewiczami polowali w puszczy i zabili 42 żubrów, trzynaście łosiów, dwie sarny i t. d. Są też wyryte i nazwiska urzędników, rozmaitych dygnitarzy litewskich i koronnych, oraz gości saskich. Podana także waga największych sztuk ubitych. Białowieża leży w samym środku puszczy. Jest to ogromna wieś, mająca do 11 wiorst kwadratowych rozległości, zamożna, zamieszkała przez pomięszaną ludność Mazurów, Litwinów i Rusinów. Nazwę swą zawdzięcza zapewne wieś jak i cała puszcza jakiejś białej wieży, która kiedyś musiała się tu wznosić. Kiedy? nikt nie pamięta i o ile mi wiadomo nie ma również żadnych śladów piśmiennych. Gloger, który ich poszukiwał, nic nie odkrył. Chaty w Białowieży są obszerne, porządne, podobniejsze do dworków wiejskich, niż do zwykłych chat wieśniaczych. Lud bogaty, oświecony i dawnych czasów pamiętny. Podania, o czem niżej przyjdzie mi mówić, tkwią w pamięci tych leśnych ludzi bardzo żywo. W części wsi, leżącej na drodze do Browska, dochował się starożytny budynek, w którym niegdyś trzymano sieci łowieckie. Wysokie i i zczerniałe zręby jego wyglądają nader poważnie w porównaniu z wielokolorową cerkwią, wzniesioną niedawno dla eksuniatów. Niedaleko od cerkwi wznosi się pawilon cesarski, trzymany w stylu wiejskich domów moskiewskich, z wysokim dachem, powycinanymi słupami i mnóstwem koronkowych ozdób rżniętych w drzewie. W pawilonie ma być księga, zawierająca malowane obrazy dawnych niefortunnych polowań, na których strzelcy uciekając przed żubrami, zaczepiają się za wyloty od kontuszów za drzewa. Sprzeciwia się to tradycyi o dawnych, olbrzymiej siły łowcach, którzy chwyciwszy żubra

za rogi, wywodzili go z ostępu. Dzisiejsze polowania odbywają się prawie wyłącznie w zwierzyńcu, w którym łatwiej znaleźć stada. Rozumie się także, że obecnie polowania z dzisiejszą bronią palną przedstawiają daleko mniej niebezpieczeństwa niż dawniejsze, zwłaszcza że na wielkich łowach używają zwykle kul pękających.

Cała wieś Białowieża jest to polny czworobok, otoczony ścianą lasów. Południowa strona stanowi brzeg uroczyska zwanego Browsk. Być może, że nazwa ta jest skróceniem nazwy Bobrowsk, od bobrów, które dawniej licznie zamieszkiwały puszczę. Na Narwi, Narewce, Lśnie, Łętowni oraz na strumieniach leśnych były liczne żeremia. Obecnie i pamięć o nich zaginęła. Weszło teraz w modę zrzucać wszystko na złe i nieopatrzne gospodarstwo dawnych czasów, a jednak dawne prawa polskie opiekowały się bobrem nader starannie i stanowczo. Wedle statutu litewskiego, kto miał choćby w cudzej ziemi kupione gony bobrowe, mógł żądać, by zwierzątek nie płoszono dla podorywki lub sianożęcia, gdyż bóbr straszony „traci przemysł, który społeczeństwu bobrów czyni go pożytecznym“. Puszczańskie żeremia były najliczniej zamieszkałe, a gony bogate i w zapasy obfite. Nie było też sławniejszych skór jak białowieskie i te płaciły się najdrożej. Obecnie, słyszałem, że bobry trafiają się jeszcze na Polesiu, ale rzadko. Administracya puszczy zasłużyłaby się prawdziwie, gdyby postarała się o sprowadzenie tych zwierząt, o osadzenie ich i rozmnożenie napowrót po rzekach i strumieniach. Trzebaby tylko, aby dzisiejsze prawo otoczyło je taką opieką, jak dawne polskie i litewskie.

W straże Browską nie zapuszczaliśmy się zbyt głęboko, gdyż brak czasu stanął nam na zawadzie. Jest ona w znacznej części, przynajmniej z brzegu, pokryta czarnym borem. Nie widziałem tam także owych cmentarzysk, na których sterczą uschnięte i ogołocone z kory i liści sosny. Starodrzew wyniosły, ale zdrowy, jędrny. Igliwie obfite, tak że dal nie jest różnobarwna jak w innych okolicach puszczy, ale jednostajna, ciemna. Pod spodem czysto; knieja nie podszyta, powietrze przesycone balsamem żywiczym. Jest to jedna z najpiękniejszych straży. Musi być tylko strzeżona pilniej od innych od ognia, gdyż bór łatwiej podlega pożarom niż las liściasty. Sosna ma mniej wilgoci, a więcej żywicy od innych drzew, i sosny też w razie wypadku zapalają się jedna od drugiej jak świece. Pod tym względem porządek zachowywany w puszczy wiele przedstawia do życzenia i nagany. Rozkładanie ognia jest surowo wzbronione, ale pilnowanie słabe. Wracając z Zamczyska, widzieliśmy w lesie olbrzymią kłodę buchającą płomieniem. Ogień wydrążył ją i potworzył sobie przeloty, którymi strzelał wysoko w górę. Poszedł on także na kilkanaście stóp w około i zatrzymał się dopiero u granicy mchów wilgotnych, którymi na szczęście miejscowość była otoczona. Odjechawszy, widzieliśmy jeszcze długo połyskującą wśród mroku łunę jakoby kuźni w lesie ukrytej.

Pożar jest najstraszniejszą klęską, jaka się tam zdarzyć może. W roku 1811 tłukł puszczę przez trzy miesiące, od Czerwca do Października. Ratunek wszelki nie zdał się na nic. Ostępy pokryte drzewem iglastem zapalały się od żaru i skier, nim płomień do nich doszedł. Ludzie założyli w końcu ręce i czekali zmiłowania bożego, które też przyszło nareszcie pod postacią potoków deszczu.

Ogień rozkładają najczęściej dzieci pasące bydło, bo starsi tego nie czynią. Chłop puszczański jest roztropny i bynajmniej nie lekkomyślny. Lud ten zasługuje pod każdym względem na bliższą uwagę. Zamknięty w puszczy, odłączony rzecby można od reszty świata, uległ on mniej zewnętrznym wpływom, zachował więcej dawnych zwyczajów, tradycyj i cech dawnego bytu, niż mieszkańcy ziem puszczy przyległych. Lud to przytem, który nie zaznał nigdy pana — puszcza była królewska — więc spełniał tylko powinność względem króla, a zresztą siedział na woli.

Wsie puszczańskie zamieszkane są przez Litwinów, Rusinów i Mazurów. Ci ostatni sprowadzeni przed wiekami dla wytapiania smoły, terpentyny i potażu, zamieszkują niektóre wsie całkowicie, w innych pomieszani są z Litwą i Rusinami. Puszcza, lub inaczej mówiąc, jednakie warunki bytu, wyrodziły i cechy jednakie w mieszkańcach, tak że nie różnią się oni między sobą ni ubiorem, ni sposobem życia, ni typem twarzy. Chłopi puszczańscy mają po większej części wysoki wzrost, są bardzo szczupli, niemal chudzi. Ubior ich stanowi szara siermięga, sięgająca kolan, płócienne szarawary i chodaki z łyka, przymocowane sznurkiem okręconym koło nogi, czem nie różnią się zresztą od swych zapuszczańskich sąsiadów. Co mnie w nich uderzyło, to nadzwyczaj delikatna cera, jakiej gdzieindziej nie dostrzedz. Zawdzięczają ją oni zapewne życiu w cieniach i mrokach leśnych. Mniej wystawieni na działanie promieni słonecznych, mniej się też opalają. Jasnowłosych nie wielu pomiędzy nimi widziałem. Prawie wszyscy mają ciemno-blond włosy i wielkie, zamyślone, niebieskie oczy. Są to twarze ładne, a zwłaszcza sympatyczne, o rysach bardzo drobnych i uduchowionym wyrazie. Lud to trzeźwy, gościnny i nadzwyczaj pobożny. Po zniesieniu kościoła w Narewce mają teraz cztery mile do swej parafii w Narwi, a jednak jeżdżą do kościoła jak tylko mogą najczęściej. Mieszkańcy Bud są wszyscy katolicy, mieszkańcy Białowieży po większej części. Nie brak tam jednakże i eks-unitów. Ludność Teremissów, Orzechowa, Hurynowa, Skopowa, Narewki, Mielnika, Niemierzy, Tuszelmy i t. d. jest przeważnie mazurska. Puszczę swoją kochają wszyscy nad życie i zdają sobie z tego sprawę. Ponieważ była między nami mowa o tem, że dla zwierzostanu puszczy lepiejby było przenieść wsie na zewnątrz niej, spytaliśmy powożącego nas budnika, czyby nie zgodzili się na to, gdyby im dano dwa razy więcej ziemi. „Za nic, panie! — odpowiedział swoim śpiewnym. pieszczonym głosem. W puszczy najlepiej; a tam tak goło, widno... Ot, żeby panowie wiosną przyjechali, to u nas ślicznie! ach! ach!“

Jeżeli o Litwinach mówią, że przeciągają, to przeciąganie to w puszczy dochodzi u Mazurów i nie Mazurów do takiego stopnia, że się uszom nie chce wierzyć. Między innemi opowiadaliśmy naszemu budnikowi o jubileuszu częstochowskim. Słuchając, wznosił swoje śliczne błękitne oczy do góry i powtarzał z zachwytem: „Ach Boże! Boże!“ ale wymawiał: ach Buuuoooże! Buuuoooże! Jest to już nie przeciąganie, ale po prostu śpiew. Na zapytanie, czy umie czytać, odpowiedział: „Paanie! u nas ani jednego nie ma we wsi, coby się z książki nie modlił.“ Jest to nawet dziwne u ludu tak zamkniętego, tak oderwanego od reszty świata, a jednak prawdziwe. Kto ich uczył i kiedy? Uczą się sami. Mają nauczycieli i płacą ich dobrze, a mogą, bo prawie wszyscy są nader zamożni. Uważali się zresztą po wszystkie czasy za coś lepszego od pańszczyźnianych, za równych drobnej szlachcie, więc uczyli się czytać. „My panie byli królewscy ludzie, wolni — mówił nasz przewodnik. Do nas jeszcze i z okolic „wciekali“, bo jak kto wciekł, tak my nie wydawali, ale bronili. Tu u nas wola była.“ — Za owych dawnych czasów uciekało rzeczywiście i wielu pańszczyźnianych „pod królewską rękę“. Jechać ich tam szukać było trudno i niebezpiecznie. Z tych to powodów le-

genda otoczyła króla jakimś urokiem opieki, miłosierdzia, wielkości i dobroci. Do dziś opowiadają sobie w chatach przy świetle łuczywa o wielkich łowach królewskich, o zjazdach, o złocistych karetach i rycerzach, którzy je otaczali. W jednostajnem puszczańskiem życiu pamięć trwa długo, bo nie ścierają jej zewnętrzne wrażenia. Lud ten żył przez całe wieki nader spokojnie; zmiany, które gdzieindziej wstrząsały bytem wieśniaczym i sprowadzały niejednokrotnie rozbrat między dworem a chatą, tu dla samego już braku dworów nie odbijały się wcale. Tu chłop od wieków władał ziemią, więc nowsze czasy nie przyniosły nic nowego. Może dlatego na ubranego w surdut wędrowca patrzą tu ciekawie, ale witają go serdecznie jak gościa, ale i swojego zarazem.

Więcej zmian wprowadziły nowsze czasy w kaście dawnych leśników. Mówię: w kaście, gdyż urzędy te przechodziły przez wieki całe z pokolenia na pokolenie. Dziś wielu jest między nimi ludzi ze stron dalszych, wszystkich jednakże niepodobna było zastąpić, bo ażeby znać puszczę i umieć sobie w niej radzić, trzeba się w niej wykołysać. Próbowano zastąpić miejscowych osadników mieszkańcami innych dalekich lasów i razu pewnego sprowadzono tych ostatnich jako nadzwyczaj biegłych na jakieś wielkie polowanie. Ale cóż się stało? Oto od razu wszyscy pogubili się w puszczy i łowy nie udały się zupełnie. Nasz budnik opowiadał nam o tem z pewną dumą. „Kto panie puszczy nie zna — mówił — a zjedzie z drogi, ten i przepadł. U nas złodziej konia nie ukradnie, bo ucieka drogą, to go złapiem, a zjedzie, to będzie trzy dni jeździł i nie wyjedzie. Tak, panowie.“

Jaka szkoda, że ten tak ciekawy lud tak mało jest dotąd zbadany pod względem bytu, obyczajów, obrzędów i pieśni. Zadanie wdzięczne, dotąd niespełnione, czeka na podróżnika-badacza. Również nie dość znaną dotąd jest cała puszcza, a niezawodnie zawiera ona prawdziwe skarby zwierzęce i roślinne, ukryte jeszcze w znacznej części. Byłbym szczęśliwy, gdyby moje opowiadanie mogło kogo zaciekawić i zachęcić. Inne części kraju znane są lepiej, a może nie są tak ciekawe, tak odrębne, może nie tworzą takiego zamkniętego w sobie świata. Mnie i moim towarzyszom miłoby było dłużej z ludem i puszczą przestawać, poznać wszystkie jej zakąty i tajemnice, zanurzyć się w nią głębiej, zżyć się z nią lepiej, ale po kilku dniach musieliśmy niestety zaśpiewać mohortową piosenkę:

Czas do domu czas!
Zabawili nas...

Przytem niebo zawlokło się chmurami i począł padać deszcz obfity a uparty. Zasępiła się cała puszcza i zaszła mgłą. Bagienka wezbrały. Niepodobna było robić wycieczek. Słotna jesień zastępowała pogodną. Siedliśmy tedy na nasz wóz podróżny i po kilku godzinach wyjechali na świat otwarty. Otoczyły nas znowu równiny senne. Budnik miał słuszność: widno na tych równinach i nago... Myśl też chętnie wraca do tych lasów odwiecznych i pióro chętnie dzieli się wrażeniami z czytelnikiem.

SCHNITZEL-JAGD.

Witaj wreszcie żórawiu z dalekiej podróży!
Twe przybycie nam wiosnę niezawodną wróży.
— Tak rzekł jeleń sędziwy z karpackiej krainy
Do żórawia, co przy nim siadł śród połoniny.
Co tam słychać, mój ptaku? Tyś się lotem strudził,
Wiem, że już tem pytaniem bocian ciebie znudził
W Fredry „Cudzoziemczyznie“; lecz pytać jest w modzie.
Lecisz z Wschodu, opowiedz, co słychać na Wschodzie?

ŻÓRAW.

Na Wschodzie czy Zachodzie ludzie wciąż jednacy,
Koło jednej, tej samej są zajęci pracy.
Nibyto się wspierają i niby się lubią,
Jednak o nic się kłócą, a o głupstwa czubią.
Ciągle wichrzą, zdzierają i parlamentują,
Oszukują, cyganią i dynamitują.
A do władzy się wdziera ciągle jaki taki,
Słowem, głupsi są, niźli zwierzęta i ptaki.
Co rok lecąc nad ziemią, wzbijając się w chmury,
Najserdeczniej się uśmiać ja z nich muszę z góry.

JELEŃ.

Wiem, wiem o tem. Ja ludzi też znam dobrze z bliska,
Co roku mnie sekują podczas rykowiska.
Z nimi to już kłopotu bywało nie mało,
Tylko żem mędrszy od nich, więc mam skórę całą.

ŻÓRAW.

Otóż właśnie ci teraz opowiedzieć chciałem,
Co lecąc po nad Lwowem wczoraj tam widziałem.
Był to Wtorek — pod Jurem spostrzegam zebranie,
Było to na jelenia wielkie polowanie.

JELEŃ.

Na jelenia? Co? W Maju? Któż temu uwierzy?
Wszak w ustawie nam „Schonzeit“ się w Maju należy.
A to gwałt oczywisty — teraz polowanie!
Takież to w kraju naszym praw poszanowanie?

ŻÓRAW.

O nie! takich jeleni, jak tam teraz gonią,
Żadne Sejmu ustawy nigdy nie ochronią.

JELEŃ.

Są jelenie we Lwowie? Nie słyszałem tego.

ŻÓRAW.

Jest ich mnogość, ale są rodzaju innego.
Jeleń lwowski też bywa lotny i nadobny,
Chociaż z kształtów do ciebie wcale niepodobny.
W kamienicach, kawiarniach jest jego siedlisko,
A przez rok prawie cały miewa rykowisko.
Wdziewa frak i cylinder, lakierki na nogi,
Tylko gdy łania bryka, jemu rosną rogi.
Nie o takich jeleniach jednak tutaj mowa,
Inny jeleń jest teraz słynnym pośród Lwowa.
Jakby Centaur wygląda, z dwóch części się składa,
Ale jedna od drugiej nigdy nie odpada,
Mimo skoków szalonych przez rowy i płoty,
Tak, że ja, ptak, tak lecieć nie miałbym ochoty.
I ty, choć wiem, żeś z rodu nadzwyczaj nożnego,
Jak cię kocham, jeleniu, nie potrafisz tego.
Jedno tylko z logiką tu w sprzeczności stoi,
Że ten jeleń ucieka, chociaż się nie boi,
A od psów i myśliwych chroniąc się ucieczką,

Różni się tylko jakąś czerwoną wstążeczką,
I choć nie postrzelony, gdy polem czwałuje,
Zamiast krwią, to skrawkami papieru farbuje.
Za nim w pogoń wytrawnych psów puszczają parę,
A te pieski są wszystkie błękitno-podżare,
Rącze, zwinne i sprytne, lecz mają to ale,
Że go głosem nie gonią i nie gryzą wcale.

JELEŃ.

Takie psy to ja lubię, nic nie robią złego,
O tych, które mnie gonią, ja nie powiem tego.

ŻÓRAW.

Gdybyś widział myśliwych tych drużynę nową,
Musiałbyś ich pokochać — daję na to słowo.
Strzelby żaden z nich nie ma, ani kordelasu,
Chociaż gonią jelenia, to tylko do czasu.
Bo po łowach w najlepszej zgodzie z sobą siedzą,
Psy, myśliwi i jeleń razem obiad jedzą.

JELEŃ.

No, takie polowanie, to ja już pojmuję,
W którem jeleń papierem, a nie krwią farbuje.

ŻÓRAW.

Bogdaj to być jeleniem takim jak ten lwowski!
Powrót sam z polowania jest to tryumf boski.
Łanie najczarowniejsze przy rogatkach stają,
Wracających myśliwych z powozów witają;
Bo to widok niezwykły, obaczyć na błoniu
Koło Lwowa dzielnego młodzieńca na koniu,
Bo najsilniej dziś siedzi młodych zastęp hoży
Przy stoliku kwindecza, w kawiarni lub w loży.
Dzięki więc jeleniowi, że zmianę sprowadził,
Że choć kilku młodzieńców znów na konie wsadził.

L. hr. S.

RUJA SARN.

PRZEZ

Kazimierza hr. Wodzickiego.

Mało żyjątek jest tak rozhukanych w popędach płciowych, jak rogacze. Rozogniony uderza na drugiego, często zrani go, w zaślepieniu bodzie siuty, nieraz kaleczy i zabija, czego mamy liczne dowody, i ta okoliczność przedewszystkiem zniewoliła mnie do przypuszczenia rui sarn wtedy, gdy rogacze mają głowy bezbronne. Pomimo ostrej broni w rogach, ustępuje szpiczak wobec starego rogacza i rzadko przyjmuje walkę z nim; siła impetu, zdaje się, i waga zwierza większych rozmiarów odstrasza młodych. Ile razy badałem biegające sarny, zawsze szły szpiczaki z tyłu, również w stadku igrającem młodzież męska stała na boku. Jest to rzecz nader doniosłego wpływu na chów sarn, kwestya, której nigdy dostatecznie studyować nie możemy. Znać należy wiek rogaczów i liczbę starych, systematyczne ich wybijanie jest podstawą regularnego mnożenia się sarn. Według mego przekonania i doświadczenia rozmnożyłaby się ilość zajęcy w trójnasób, gdybyśmy mogli wytępić połowę samców. Toż samo odnieść należy do rogaczów, mianowicie niezdolnych do zapłodzenia, nieustannie napastujących siuty, niedopuszczających do skoku młodszych. Porównać ich można z starymi, ciężkimi baranami, skaczącymi kilkanaście razy w jednym dniu na owcę, a zawsze bezskutecznie, co wywołuje wysilenie samicy i często doprowadza do bezpłodności. Znałem rogacze tak ciężkie, że ledwie za stadem podążać zdołały zasapane i charczące, a jednak niedopuszczające młodszych. Błąd to szkodliwy w naszej ustawie łowieckiej, iż wzbrania strzelanie rogaczów w Marcu, gdy wybujałe rogi zdradzają go z daleka i ułatwiają ubicie szkodnika. Badanie stanu sarn jest nader ważne w celu poznania nietylko swoich własnych rogaczów, ale też przybyszów, wędrujących pod zimę nawet do oddalonych lasów, szukających kóz. Nie ubliżając cnocie silwanek, zdaje mi się, że one przed rują odwidzają sąsiednie lasy niby dla rozrywki, pożywienia, spaceru, w istocie zaś w celu sprowadzenia do ojczyzny swej rogaczów. Czynią to szczególnie kozy w rewirach, w których część rogaczów bywa wystrzelana. Nieraz w życiu zdarzyło mi się zliczyć na wiosnę ledwie pięć do dziesięciu rogaczów, a w jesieni było ich przeszło dwadzieścia. Mógł czasem jaki rogacz uchylić się od rachuby, lecz o kilkanaście niepodobna się pomylić. Oparty na sumiennem doświadczeniu, mogę śmiało twierdzić, że wybijając rogacze, ile było w możności, w Lutym, pomnażałem nad miarę stan sarn w lasach rozrzuconych, niezwartych. Tak mam własnych sarn 60 do 70, rogaczów zabijam przeszło 20, a rok ubiegły dostarczył mi 33. Każdy myśliwy przyzna, że powyższa liczba sarn nie mogła przysporzyć takiej ilości rogaczów, a zatem przywędrowały lub ich sobie lasowe baletniczki z dalekich stron sprowadziły. Przypuszczam też, iż się znęciły rogacze do moich lasków suchą, zdrową karmą w zimowych miesiącach, starannem odkrywaniem solnic i t. d., lecz ilość ich w stosunku do kóz jest pod jesień za wielką, iżby nie przypuszczać ściągania się ich w czasie rui. Może się mylę, bo w lesie pokrytym liściem trudniejsza kontrola sarn, jak w obnażonym z liścia i na śniegu, mniemam jednak, że z zbliżeniem się wiosny zielonej powracają one do swych lasów, jeżeli morderczy ołów ich u mnie nie zatrzymał. Trapi mnie od wielu lat zagadkowa tajemnica, której rozwiązać nie mogę: w jaki sposób samce odkrywają w oddalonych miejscowościach samice potrzebujące zapłodnienia i jak one wyszukują sobie samców? Tu sam instynkt nie wystarcza, ani też wietrzenie zwierzęcia może sięgać na milę lub dalej. Jakżeż dowiadują się o możliwości tych konkurów? Rozumiem powrót z tych wesel, rozumiem postępowanie w ślady szczęśliwych samców, lecz w jaki sposób wykrył pierwszy samiec, że w drugiej lub trzeciej wsi, w dalekim lesie lub gaju jest samica do wzięcia? Posiadałem wiele wyżłów przywiązanych do mnie, istnych domowników, pilnujących kuchni i poduszek, które biegły w oddalone strony na wesela i wracały jak po bitwach, wygłodniałe, pokaleczone i zbiedzone, pozostając już w domu przez kilka tygodni, a nawet miesięcy. Zamiłowany w chowie koni, miewałem i mam niemałe przykrości z powodu tego dziwnego popędu. Nieraz trzy lub czteroletnia

klaczka porzuca towarzyszki lub je z sobą zabiera i pędzi jak szalona do chłopskiego ogiera, niekiedy o milę odległości pasącego się, ona, wychowana w skromności, nie znająca świata po za folwarkiem, w którym się urodziła. Ileż to razy ku wiośnie widzimy w biały dzień zająca, znikającego nam z widnokręgu; pędzi on niezawodnie do samicy. Takie zające w znacznej liczbie spostrzegamy aż do chwili, w której nam zboże ziemię zasłoni. Mieszkając niegdyś w okolicy obfitującej w jeziorka i bagna wysechające w czasie żniw, bawiłem się wystrzeliwaniem kaczorów na wiosnę i uważałem w drugim lub trzecim dniu, że kaczka wczoraj wdowa stała się znowu mężatką. U lotnych zwierząt jest to przy ich ruchliwości i łatwości odbywania dalekich wycieczek łatwem do pojęcia, lecz jak tę zagadkę wytłumaczyć u ssaków? Rogacz, ów Lowelas zwierzęcy, idzie podobnie jak zając prosto przez lasy do pewnego rewiru, jak gdyby go faktor zapewnił, że tam zaślubić się może. W Galicyi jest to mniej zadziwiającem, gdyż w lasach jej jest jeszcze dosyć rogaczów w stosunku do siut, lecz w Księstwie Poznańskiem znałem rewiry z wystrzelanymi rogaczami, częstokroć i sąsiednie, a przecie pojawiały się w nich w porze rui rogacze, a kozy nie pozostawały jałowemi. Nie przestanę kołatać o pozwolenie strzelania starych rogaczów w Marcu, bo to jest jedyny sposób pozbycia się szkodliwych a nader przebiegłych i ostrożnych lubieżników. Koledzy pod sztandarem św. Huberta przyznają, jak mało w czasie polowań ginie starych rogaczów, gdyż one z godnem podziwienia doświadczeniem umieją uchylać się od naszych strzałów i nie wychodzą na linię strzelców. Możnaby mi zarzucić, że należy wybijać je na podjazdach i zasadzkach. Ale nie wszystkie rewiry kwalifikują się do podjazdów, a nocne zasadzki kaleczą najczęściej bezpożytecznie rogacze, przyczem niejednej kozie dostanie się ołów, przeznaczony dla rogacza.

Wcale nie zaprzeczam, iż niektórzy myśliwi widzieli skaczące na sarny rogacze w Lipcu lub Sierpniu, lecz to nie dowodzi, iż sarny wtedy zapłodnionemi zostały. Skaczą na stare jałowe siuty w różnych porach roku, albo jest to tylko swawola i igraszka, dostrzegana w każdym niemal gatunku zwierząt. Wszak najulubieńsza jest zabawa suk w uganianiu z psami, przyjmowaniu skoku momentalnego i dalszej pogoni, lecz to wcale nie jest świadectwem normalnego popędu płciowego. Świnie dozwalają jeździć na sobie knurom godzinami, lecz nie bywają one wtedy zapłodnione. Ileż to razy stanowią się krowy i klacze, nie wydając na świat potomstwa. Są to tylko igraszki właściwe zwierzętom, najwidoczniejsze u ptaków, cieszących się pożyciem małżeńskiem bez żadnych skutków, a jednak, jak się zdaje, z potrzeby. Od lat wielu chorowałem na chęć hodowania młodych gilów w klatkach i wypładzania mięszańca z kanarka i gila; z choroby tej nie jestem wprawdzie radykalnie wyleczony, poczynam jednak tracić nadzieję. Przez długi szereg lat parowały się gile, parował się też kanarek z gilem, mimo jednak należytego spokoju i odpowiedniego naturze gniazda samica nie znosiła jaj. Co roku przezimowuję kilkanaście par kuropatw, ku wiośnie parują się, żadna mi jednak jeszcze jaj nie zniosła. Ciekawem jest w badaniu wołowe oczko (troglodytes). Choć samiczki poślubić nie może, odbywa troskliwie obowiązki rodzicielskie; ścieli misternie w półkuli zamknięte gniazdo i przesiaduje w niem tyle godzin, ile mu głód pozwala. Widzimy owdowiałe bociany, przesiadujące na gniazdach przez czas wymierzony do wysiadywania jaj. Miałem samicę sępa, która znosiła jajo i troskliwie wysiadywała przez 21 dni. Otóż gonitwy i nieudane skoki nie mogę przyjąć jako podstawę terminu rui sarn. Każdy rolnik posiada doświadczenie o klaczach i krowach wyjątkowych, któreby chętnie przyjęły ogierów i buhajów nawet kilkanaście razy, nie dozwala się na to w chęci szanowania rozpłodników. Nadleśniczy M. na Szląsku pruskim podaje w roczniku, poświęconym leśnictwu, nader ciekawe szczegóły o rozhukanych rogaczach w miesiącu Lipcu, które strzelał na wabika. Posiadał w rewirze postrzelonego rogacza, kulawego, o trzech nogach, tak rozhukanego, że się wobec żadnego niebezpieczeństwa nie cofał, a szał ten jego trwał przez kilka tygodni. Inne rogacze strzelał kulami po kilka razy, a jednak wychodziły na wabika. Jest to dla mnie dowodem, że rogacze wtedy popędu płciowego istotnie nie zaspokajają i dlatego stan ich gorączkowy się potęguje. Niektórzy autorowie twierdzą, że stare jałowe kozy wcale nie przyjmują rogaczów. Nietylko dają na siebie skakać, lecz prowadzą za sobą nietylko jednego, ale czasem i dwóch. Nasuwa się tu ważne zapytanie, czy należy owe stare uwodzicielki, wysilające młode rogacze, strzelać i tępić? Drażliwe to i dla mnie niebezpieczne pytanie. Któryż z leśników może zapewnić, że ona jałową jest prawdziwie i taką pozostanie? Miałem znaną mi sarnę w miocie, przez dwa lata samotnie żyjącą, która zawsze jednym i tym samym wekslem wychodziła, zachęcając tem do zastrzelenia jej. Jakież było moje zadziwienie, gdy w trzecim roku wyszła zwykłą ścieżką z koźlątkiem. Jeszcze przypuszczam zastrzelenie kozy samotnie żyjącej lub zawsze w towarzystwie rogacza, i to nie na polowaniu w towarzystwie, lecz wyłącznie polując na nią, albo też nakaz zabicia jej przez sumiennego leśnika i znawcę. Charakterystykę jałowej siuty widzimy w obwisłym brzuchu, szerści bez połysku i gładkości, miejscami najeżonej, pod spodem z długim włosem. Lecz i tu pomylić się można, gdyż słabość lub cierpienie te same oznaki wykazują. Jako ochronicielki i stróżów dobroczynnych szanować musimy stare siuty w stadach, one to niby doświadczone guwernantki strzegą od niebezpieczeństwa sarny, które też nieograniczonem je zaufaniem obdarzają, nie pytają, nie rozumują, nawet nie patrzą, gdzie biegną i pędzą, lecz posłuszne z oczami w nią wlepionemi gonią tam, dokąd ona dąży. Rów, ścieżka, bita droga, gąszcze, las staropniowy, kłody i debry, łąki i łany, nic im nie stoi na przeszkodzie, jeżeli doświadczona guwernantka naprzód idzie; do tego stopnia zaślepione w tem zaufaniu, że gdy myśliwy jak posąg stoi z dobrym wiatrem i przepuści pierwszą koło siebie, to reszta sarn wpada mu pod nogi. Dzierżawiłem sarnie rewiry przez długi szereg lat i podziwiałem wykształcenie (niech mi tak wolno się wyrazić) tych przewodniczek. Gdy stadko spoczywało, a dał się słyszeć jakiś niewłaściwy lasom głos lub szelest, to duże sarny się zrywały, nasłuchiwały i w miarę uznania stopnia niebezpieczeństwa przykładem udzielały dyrektywy sarnom; lub też przy żerowaniu co chwila podnosiły główkę, nadstawiały słuch i albo dalej się pasły, lub odchodziły spokojnie, lub wreszcie z miejsca pędem. Dziwne, jak te doświadczone siuty umieją rozróżnić bliskie od dalszego niebezpieczeństwa; w pierwszem pędzą do rewiru uznanego za asillum, w drugiem wolno usuwają się w dalsze mioty. Tropiąc osobiście dziki, miałem co roku sposobność przypatrywania się temu uprowadzaniu sarn. Czasem polowano w 10 lub 12 miocie, a już guwernantki gromadziły drużynę, usuwały stado, znając grozę polowania. W dwóch rewirach znałem sarny wychodzące na pole i łąki przy pierwszym odgłosie trąbki lub

hałasie, przypominającym polowanie, i tam pozostawały aż do ustalenia się ciszy leśnej, czyli ukończenia łowów. Zawsze na czele pędziła lub stała duża sarna. W jaki sposób zwierzęta te rozpoznają ludzi i niebezpieczeństwa, to zaiste podziwienia godne. Czasem pchają się między rębaczy i fury w lesie, żerują po ogrodach leśniczych i gajowych spokojnie i swobodnie, ale gdy się nieznajomy ledwie pojawi, już umykają. Mnóstwo mają wybiegów, doświadczeniem, przebiegłością i niesłychaną ostrożnością ratują stado. Istne to Sylwanki, matrony strzegące ród sarni; im więcej ich w rewirze, tem większe bezpieczeństwo dla sarn. Używałem różnych środków w celu oszukania ich i przysporzenia zdobyczy polowaniu, udawały mi się one z młodemi lub pojedyńczemi, nigdy zaś ze stadkami, prowadzonemi przez doświadczone guwernantki. Polowałem z kałatawkami, z dzwonkami, z różnobarwnemi chorągiewkami — wnet poznały te strachy na Lachy i uderzały na gońców. W końcu polowałem ze sznurami, opatrzonymi różnokolorowemi szmatkami, wtedy pędziły na nie ze staremi młode. Można tu zaprawdę zastosować przysłowie: „doświadczenie poszło w las"— ale na pożytek rodu sarniego. Dziś, gdy u mnie trzech lub czterech chłopców bije patykami w pnie, to sarny z trzeciego i czwartego miotu wynoszą się, tak doskonale] znają ten hałas. I któżby uwierzył, że te rozumne zwierzęta zmuszają mnie do polowania z wedetami, wskazującemi po pierwszym miocie miejsce ich schronienia. Jasne to dowody, że stare siuty są w stadach istotnemi opiekunkami i niepospolite oddają usługi sarnom, mamy więc obowiązek ochraniać je, jak długo one stada strzegą. Niejeden gabinetowy myśliwy ogłasza waleczność rogacza i uważa go za stróża stada najzupełniej mylnie, bo ani w głowie mu straż i opieka, on myśli tylko o romansach i łakociach w pożywieniu. Każdy myśliwy niezawodnie dostrzegł, że najczęściej koza przewodniczy i rekognoskuje, a rogacz ślepo za nią idzie. Jeżeli on rusza przodem, to pewnie przypadkowy popłoch lub zmiana chwilowa stały się tego powodem a gdy koza bezpiecznie strzelca minie, to rogacz dąży za nią, choćby go spostrzegł. Niech więc żaden myśliwy nie rozczula się nad cnotami i ofiarnością starych rogaczy, niech raczej przejmie się przekonaniem o niewierności rogacza dla swej ojczyzny, o jego wędrówkach w celu zaspokojenia lubieżnych chuci. O nim można śmiało powiedzieć: *ubi bene, ibi patria.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MYŚLIWSTWO i MYŚLIWI we FRANCYI, ANGLII i w NIEMCZECH

PRZEZ

De la Rue.

(„La chasse illustrée" 1882. Tł. J. Ł.)

(Ciąg dalszy.)

Niemcy szczęśliwsi i zręczniejsi jak inne narody ucywilizowane, umieli nadać swemu leśnictwu przewagę wiedzy i doświadczenia. Szkoły, akademie, szerząc zapał do nauki leśnej, rozpowszechniły równocześnie wiedzę leśniczą i łowiecką, która się stała własnością całego narodu, książęta nawet są doskonałymi leśnikami i łowcami. Lepiej usposobieni, jak król Ludwik Filip, który nieszczęśliwą powziął myśl dzierżawienia łowiectwa w lasach państwowych, panujący niemieccy chronią się starannie od grzechu odjęcia leśnikom administracyi zwierzyny, która powinna być nieodstępną ich attrybucyą, powabem i poezyą zawodu leśnego. Jest to tak dalece prawdą, tak rzeczą naturalną, że administratorowie lasów powinni być zarazem z zawodu łowcami i że żadną miarą łowiectwo im odjęte być nie może; iż nie łatwo pomieści się w umyśle większości Francuzów, że przeciwnie u nas się dzieje od czasu, jak łowiectwo w lasach naszych jest wydzierżawione. Postąpiliśmy, sądzę, bez dojrzałego rozmysłu, z podziwieniem innych narodów usuwając z attrybucyi leśników łowiectwo i gospodarstwo wodne. Nie da się zaprzeczyć, że te dwa nierozważne zarządzenia pociągnęły za sobą smutny skutek przeistoczenia naszych leśników w biurokratów, sparaliżowania ich czynności, wcale, o ile mi wiadomo, nie przyczyniwszy się tem do ochrony zwierzyny naszych lasów i ryb w naszych wodach. Mógłbym wymienić lasy, które w całym szeregu lat nie były zwidzane przez tych producentów stosów papieru, przez tych stróżów fascykułów, którzy w większej części mogli byli zostać notaryuszami, adwokatami, archiwistami, a nawet proboszczami. Co do powołania, tego wcale nie ma, zresztą nikt się o to wcale nie troszczy; ojciec pragnął posady dla syna, zrobił z niego leśnika, tak, jak byłby go zrobił oficerem sztabowym lub artyleryi, gdyby to było w jego mocy. W takich stosunkach daje leśnik w Niemczech większą rękojmię, ponieważ przed otrzymaniem posady, choćby tylko prostego dozorcy, musi się zgłosić do konkursu i poddać egzaminowi, musi przez kilka lat przebyć u wyższego urzędnika lasowego, gdzie do nader ciężkiej użyty bywa służby, poczem dopiero się okazuje, czy ma chęć i powołanie do zawodu; niewytrwały i niechętny zrzec się go musi. Los leśników niemieckich wcale nie jest świetnym, ale wystarczającym, aby ich uczynić szczęśliwymi; są też nimi, bo miłują szczerze swój zawód. We Francyi urzędnicy lasowi są najgorzej uposażeni, niższa straż ginie z głodu i nie może wyżywić swej rodziny. Wglądnijcie w domostwa naszych leśników, a przerazicie się nieraz smutnem widowiskiem nędzy; wejdźcie ze mną do mieszkania dozorcy lasowego Crecy-Ponthieu — biorę przykład pierwszy lepszy — a zobaczycie, że cały sprzęt tego pustelnika składa się z grubego, płóciennego worka, wypchanego liściem paproci, stołu jodłowego, stołka kulawego i garnka glinianego z wodą. Takie jest umeblowanie w domu człowieka, który obowiązany strzedz często z narażeniem własnego życia dwieście lub trzysta hektarów lasu, wartości kilkuset tysięcy franków. Jako odpowiednik do tego smutnego obrazu, opiszę, już dla naszego własnego interesu, domostwo strażnika lasowego niemieckiego, boć przecież przedsięwziąłem dać poznać naszych sąsiadów pod względem łowieckim i leśniczym. Proszę mi pozwolić w tym razie wziąć z sobą towarzysza i wyobrazić sobie, że obadwaj jesteśmy zaproszeni przez dozorcę lasowego Steinbacha w celu udzielenia pomocy w ubiciu potrzebnej mu zwierzyny. Zbliżając się do leśniczówki w Grillenburg, jedzie się aleą jarzębiny, której bujne grona służą do łowienia siecią

niezwykłej ilości drozdów podczas przelotu. Tu ze wszystkiego ciągną korzyści, wszystko jest pożyteczne, wszystko wyzyskane. Leśniczy Steinbach, uprzedzony o naszem przybyciu przez wrzawę psów, wychodzi naprzeciw nas. Powitanie uprzejme, nawet przyjacielskie, ale nie familiarne. Dwie cechy charakteryzują niemieckie leśniczówki: przybite szeregiem na bramie wjezdnej ptaki drapieżne, których liczba daje świadectwo o staranności leśniczego o swoją zwierzynę, i dwie głowy jelenie omszone, wieńczące szczyt głównego mieszkania — oto herb, oto godło leśniczego, oto przywilej, którego włościanin nie ośmieli się sobie przywłaszczyć. Nie możemy u wstępu powstrzymać się od podziwu dwóch pięknych bonończyków biało-kasztanowatych, dosyć dużych, objawiających swoją radość na małym dziedzińcu, otoczonym sztachetami zieloną barwą pomalowanemi, w którego głębi znajduje się psiarnia sklepiona i ozdobnie z cegiełek złożona, co pozwala palić na miejscu podściółki w celu oczyszczenia. U nas każdy pies u leśniczego jest na sprzedaż — tam byłoby niedorzecznością zaproponować sprzedaż owych bonończyków. Straż leśna niemiecka przywiązuje się do swych psów i pielęgnuje rasy tak jak wielcy panowie. — Na przodzie, przyparta do głównego mieszkania, znajduje się izba dla elewów. W tej izbie, która mogłaby być przedmiotem pięknego obrazka w rodzaju szkoły flamandzkiej, spostrzega się naprzód w głębi łóżko polowe z materacem wcale nie miękkim; szczupłość jego przypomina mi łoże króla Ludwika Filipa, które starannie wskazywano zwidzającym pałac królewski. Podczas nieobecności gospodarza domu wziął taki materac w posiadanie jamnik, nader zawsze zażarty w prześladowaniu borsuków i lisów. Kubel z wodą sczernioną, pozostawiony zapewne przez zapomnienie w izbie, świadczy jawnie, iż czyszczono strzelby na przygotowane polowanie. W kącie komina widzimy ogrzewacza, łyżkę do lania kul, a na boku skrzydło orle, służące do rozżarzania węgli; myśliwy niemiecki, używający do tego celu mieszka, byłby uważany za niezdarę, skrzydło tylko orle rozżarzy ogień, przy którym wyleją się kule szczęśliwe. Skóry borsuków, lisów, wydr, jeleni, danieli, dzików, na boku skóra nieodżałowanego psa faworyta, osłaniają ściany, jakoteż strzelby zabrane kłusownikom i sieci różnego rodzaju. Nad kominem przybita głowa jelenia, a na wieńcu jej zawieszone obróże, kordelasy, fajki porcelanowe i ogromna trąba myśliwska, jakiej używali myśliwi w średnich wiekach, a która służy do dania sygnału wielkiej obławie. U góry między rosochami jeleniemi umieszczono na prostem, omszonem kolanku drewnianem wypchaną sowę, jako symbol czujności lesniczego. Na stole dębowym, któremu czas nadał barwę hebanu, leżą: księga rachunków, ogromny ołowiany kałamarz i pióro krucze. Dwa kufry, pokryte kosmatą skórą cielęcą, okute żelazem, postawione w pobliżu łóżka, zawierają w sobie całą garderobę, całe mienie i wszystkie tajemnice mieszkańców tego leśnego domostwa, gdzie się sypia więcej w dzień jak w nocy i gdzie nieraz miałem sposobność zebrać nie mało opowieści o cudownych prawie przygodach łowieckich. W Niemczech elewi lasowi pełnią znaczną część służby czynnej, tępią oni szkodliwe zwierzęta, starają się o rozmnożenie lub przerzadzenie zwierzyny, rozumie się pod kierunkiem leśniczego, który ich żywi i płaci ze swoich dochodów. Są to zwykle młodzi chłopcy, którzy po przebytym egzaminie otrzymują posady leśniczych. Niektórzy z nich pozostają elewami przez całe życie, jeżeli niedostateczna nauka i nieodpowiednie prowadzenie się tego wymagają.

Leśniczy Steinbach wprowadził nas do swego pomieszkania. Już z przedsionka mogliśmy rzucić okiem na kuchnię czystą, prawdziwie holenderską, świadczącą wymownie na korzyść gospodyni. Skoro wstąpiliśmy do izby głównej, będącej jadalnią i salonem, weszła pani Steinbach, a za nią służąca, silnie zbudowana, niosąca ogromną tacę, na której umieszczone były wszystkie przybory do kawy. Pani leśniczyna, istny typ piękności ujmującej saskiej, blondynka, gościnnie polecała nam swoje masło koloru złotego, swój chleb czarny z kminkiem, swój miód, z całą prostotą i swobodą. Brillat-Savarin utrzymuje, iż można wydać sąd o człowieku z sposobu jego żywienia się; inny rozumny człowiek wyrzekł: Styl — to człowiek. Ja mniemam, iż możnaby dołączyć do tych aforyzmów, iż z urządzenia pomieszkania i przedmiotów w niem się znajdujących, można osądzić leśniczego. Owe wspaniałe godło jelenie, które spostrzegliśmy między oknami, nie ma sobie równego, chyba w zamku myśliwskim w Moritzburgu, gdzie przechowują się starannie wszystkie głowy zwierząt, ubitych przez elektorów, królów polskich. Dwie strzelby zawieszone na rosochach, jedna skałkowa, druga perkusyjna, wyobrażają dwie główne epoki w historyi broni palnej, które możnaby uzupełnić, dodając strzelby lontową i Lefaucheux. Dwa kordelasy nadają ostateczną cechę temu skromnemu symbolowi. Przed rozłożystą kanapą, pokrytą materyą zieloną, wełnianą, rozścielił pan Steinbach piękny dywan z skór lisich. Nasi eleganci z lasku Bulońskiego uważaliby za rzecz zaszczytną, a możeby sobie czynili wyrzuty zbytku, mając je na nogach, tu zaś bez skrupułu depce się po nich. W pobliżu okna umieścił Steinbach stół, który służy za biuro, kasę i bibliotekę. Dzieła składające ją nie są liczne, są to prace kilku najznakomitszych autorów, traktujące o leśnictwie i łowiectwie, i kilka oprawionych pism czasowych. Moje upodobanie w rozmaitości ściągnęło mnie ku szafie oszklonej, w której ze czcią przechowano przedmioty w większej części bez realnej wartości, mające wszakże znaczenie rodzinno pamiątkowe. Były tam kubki srebrne z inicyałami, może podawane w chwili skonu drogim i nieodżałowanym członkom rodziny, filiżanki porcelanowe z datą urodzenia lub zaślubin, pamiątki świadczące o zacnych uczuciach tych, którzy je przechowują, piękny puhar (Wiederkomm) z herbem Saskim, i zegar złocony, spoczywający na małej poduszeczce z zielonego aksamitu. Miałem się już oddalić, gdym spostrzegł przy poduszeczce kartę z napisem: „Zegar ten otrzymał w darze mój ojciec Rudolf Steinbach od króla Fryderyka Augusta w dniu, w którym J. kr. Mość raczył przyjąć dzieło jego, traktujące o myśliwstwie, 3go Czerwca 1826. Zostawiam rzecz czytelnikom do rozwagi, znającym już leśniczych niemieckich. Niesłusznością by było, gdyby mnie posądzono o idealizowanie, opisałem tylko to, co widziałem sto razy. Zresztą pod młodszą linią Burbonów byt, dobrobyt, owa swoboda leśniczych obcych, wszystko to istniało u leśniczych dawnych lasów koronnych, gdzie służba lasowa, połączona z łowiecką, była wziętą z Niemiec i zastosowana z najlepszym skutkiem. Jakoż któżby śmiał zaprzeczyć, żeśmy podówczas mieli piękne lasy, wyborną straż leśną i bogatą zwierzynę? Niezawodnem jest, iż z naszego systemu, który nazwaćby można systemem sprzeczności, wynika, że nasi leśnicy, którzy powinni być protektorami i konserwatorami zwierzyny, stali się jej zaciekłymi wrogami, przynajmniej w większej części w chwili, gdy w skutek swej niewiadomości w zakresie łowiectwa są oni częstokroć przyczyną, że całe lasy bywają pustoszone i zrujnowane na przyszłość. Niech fakt służy jako przykład. W okolicy Paryża istnieje rozległy las, którego łowiectwo wydzierżawione przynosi więcej jak roczne zbiory, rzadko przekraczające sumę 90.000 franków, gdy prawo polowania ustalone jest przez ad-

ministracyę lasową na sumę 98.000 franków. Wszakże zdaje się być rzeczą słuszną, by dzierżawcy użyli też przyjemności, by mieli nieco zwierzyny za swoje pieniądze?

Na wzór tego, co się dawniej czyniło w lasach koronnych z rezultatem najzupełniej odpowiednim, dzisiejsi leśnicy w celu ochronienia młodych zapustów od zębów zwierzyny, otoczyli je drucianą kratą. Poczem panowie ci usnęli snem błogim. Naturalnie sądzisz, łaskawy czytelniku, tak jak oni, że po takiem ubezpieczeniu lasy nasze ochronione są od wszelkiej szkody. Przeciwnie części lasu tak ochronione mają właśnie najwięcej zwierzyny. Czyżbyś uwierzył takiej niedbałości, takiemu upadkowi dochodów publicznych? Co do mnie, choćbym sam jeden był tego zdania, mam silne przekonanie, że nic innego nam uczynić nie należy, jak naśladować administracyę niemiecką, tak jak państwo pruskie, które zaczczepia ją w lasach Alzacyi, którą straciliśmy. Zyskamy nierawodnie na tem wiele, takiem jest moje zdanie.

(Dokończenie nastąpi.)

POLOWANIE NA LISY W HRUSZNIEWIE
na Podlasiu w roku 1858.

Opisał
Aleksandrowicz.

Jako siedmnastoletni podporucznik, Teodor Szydłowski odkomenderowany do sztabu generała Latour-Maubourg, odbył całą kampanię 1812 roku, następnie jako adjutant księcia Józefa Poniatowskiego niebezpiecznie ranny, wreszcie jako generał brygady dowodził w r. 1831 czwartym pułkiem ułanów i czwartym strzelców konnych, a w końcu kampanii odkomenderowano go do pomocy przy głównym sztabie generałowi Prądzyńskiemu. Po wojnie osiadł generał na wsi, oddał się gospodarstwu, a jako niepospolity myśliwy zorganizował u siebie znakomite myśliwstwo, zwłaszcza na wilki.

Gdy jednego razu po odwidzinach chciałem odjeżdżać, mówi mi generał: „Nocuj, jutro ci dam polowanie, na jakiem jeszcze nigdy nie byłeś.“ — „Cóż to, generale, czy może do Sułowskiego lasu przyszły żubry lub niedźwiedzie z Białowieskiej puszczy?“ *) — „Bądź cierpliwym, zobaczysz jutro.“ — Generał dziwny miał dar opowiadania i nieraz całemi godzinami słuchaliśmy gawędki jego o wojnach Napoleona, o kampanii 1831 r., dowiadywaliśmy się dziwnie ciekawych szczegółów o Napoleonie, o generałach Chłopickim, Skrzyneckim, Prądzyńskim i wielu innych. Teraz też przy takiem opowiadaniu upłynęła nam niemal cała noc. Nazajutrz rano Jan, sławny wabiarz wilków, czekał wyprostowany, jak wypadało na podoficera pułku strzelców konnych, z raportem. Rzecz tak się miała. Spadł śnieg ogromny, na dwie niemal stopy grubości, więc po lesie nie można było chodzić. Lisy nie znajdowały żeru, wszystkie zatem wychodziły w pole. A była dolina łąk między polami, gdzie się schodziły lisy na połów myszy, gdy się tam zebrały o wschodzie słońca, to już do wieczora trwało ich polowanie. Generał lubił zawsze jakąś osobliwością się popisywać, więc też w celu zastąpienia obławy wymyślił chorągiewki, które w następujący sposób były sporządzone. Do drążka półtorałokciowego, u dołu ostrem żelazem okutego, przywiązywaną była na sznurku chorągiewka z grubego, workowego płótna, na czarno pomalowanego. Na tem czarnem tle przyszyte były rozmaite hieroglify, węże, zygzaki, z sukna bardzo jasnego, żółtego, czerwonego, niebieskiego, aby zaś owe chorągiewki już samym swym odorem odstraszały, zamykano je w skrzyniach wylanych terpentyną i dziegciem. Wiele lat polowałem z takiemi chorągiewkami, a nie zdarzyło się, by wilk albo lis przeszedł przez taką linię; zając przechodził zawsze najspokojniej, sarna zaś tylko po strzale. Dolina owa, na której z taką ochotą myszkowały lisy, miała kształt trójkąta, dwoma bokami kąta zwartego dotykała dwóch kątów kwadratu, zawierającego kilkanaście morgów przestrzeni, zarośniętej krzakami, a położonej śród pól. Opisawszy topograficznie plac boju, podam jeszcze raport wyprostowanego Jana wabiarza. Oto z rana o świcie było w dolinie jedenaście lisów, trzy nie chciały czekać na pana generała i poszły w las, ośm zaś myszkuje najswobodniej. W skutek tego raportu wyciągnięto od obu kątów kwadratu dwie linie chorągiewek, każda długości dwóch wiorst, a generał mógł takiemi chorągiewkami obstawić ośm wiorst. Dojeżdżacze i obława czekają już w krzakach nad samem polem, więc jedziemy w dziesięciu, ośmiu strzelców wytrawnych, samych prawie dawnych wojskowych, exszaserów, exgrenadyerów, generał i ja. Gęsto rozstawieni zajmujemy od pola bok jeden kwadratu, a nim obława ruszyła, widzimy w dali na dolinie wszystkie figle lisów z myszami. Obława z dala od lisów zamyka trójkąt i rozciąga się od jednego do drugiego końca dwóch linii chorągiewek.

Obława. — Dojeżdżacze.



Dojeżdżacze przywiązują do strzemion dzwonki, ale nie uderzają w trąbki, obława poczyna się zwolna posuwać. Lisy przestają myszkować, podnoszą głowy, przez chwilę przypatrują się temu nadzwyczajnemu pochodowi i nasłuchują, wreszcie strach ich ogarnia, więc pomykają w pędzie, wpadają na linie chorągiewek, ale zatrzymują się przed niemi, bo lada powiew wiatru porusza chorągiewkami i setkami jakichś straszy-

*) Powiat Konstantynowski odgraniczony jest rzeką Bugiem od gubernii Grodzieńskiej, od Buga do granicy puszczy jest wiorst około 40. i rzeczywiście kilka już razy żubry ztamtąd przez Bug do nas w gościnę przychodziły, ale widać zatęskniwszy za tamką i innemi trawami, których w naszych lasach nie znalazły, wracały po krótkim pobycie do rodzinnego gniazda.

deł. Lisy w przerażeniu zakopują się w śniegu, uciekają w drugą stronę, lecz i tam też same straszne widziadła. Kusa rada, lis przez chwilę się namyśla, następnie truchcikiem, ostrożnie dąży do kwadratu krzakami zarośniętego, gdzie go strzał celny czeka. Takim to trybem wszystkie ośm lisów wyszły na strzelców, siedm padło na miejscu, ósmy mocno zestrzelany zawlókł się kulawo do lasu, ale niezawodnie jedynie w tym celu, aby w norze na łonie rodziny żywot swój, pełen chwały rozbójniczej, zakończyć. Cała ta zabawa myśliwska nie trwała dłużej jak trzy kwadranse.

W Konstantynowie w Marcu 1883.

KORESPONDENCYE.

Olejów, 20. Kwietnia.

Jak wielka liczba rogaczów u nas jeszcze żyje i jak mało starych bije się na polowaniach w stosunku do siut, niech stwierdzą następne słowa. W moich lasach mogę liczyć najwięcej 70 sarn, i za tę liczbę ręczyć nie mogę, bo do karmy ściągają się obce, również znaczna część moich przenosi się do sąsiednich lasów, a w lecie także do małych gajów, po okolicy rozrzuconych. Przyjąwszy 70 sarn, to trudno pojąć, jak mogłem ubić w r. $18\frac{81}{82}$ rogaczów 18, a w r. $18\frac{82}{83}$ 49. Dziś mogę śmiało podać liczbę biegających i beczących kozłów w moich lasach na 16 do 18 sztuk. Zdawałoby się, że nietylko własne, ale i sąsiedzkie rogacze wystrzelałem, a jednak wiosna wykazuje mi niemało omszonych rogów. Bardziej jeszcze uderzającą jest mała ilość ubitych młodych rogaczów. Staram się zwabiać sarny solnicami, tnę osiki, młode jawory, brzozy z pnia puszczające, sieję dla nich rzepaki pod lasem, które zupełnie niszczone bywają, lecz przeważnie przypisuję znaczną ilość przybyszów w zimowej porze szopkom ze zdrową i suchą karmą. Dawniej poddawano karmę pod gołem niebem, którą deszcze, śniegi i szrony gnoiły i niesmacznemi czyniły, pod dachem zaś utrzymuje się ona w dobrym stanie przez długi czas i może być soloną. Od chwili umieszczania karmy w szopach mnoży się znacznie stan sarn w moich lasach małych, rozrzuconych, nieprzenoszących 2400 morgów, a nigdzie nie posiadam większego kompleksu. Jeżeli koledzy podzielają moje zdanie szkodliwego wpływu starych rogaczów, to przyznają mi, że chów sarn w ogólności na mylnych polega podstawach, kiedy żyje taka znaczna ich liczba i gdy paragraf ustawy, wzbraniający strzelanie kozłów z omszonymi rogami, istotną nam szkodę przynosi. Sarna odbywa dalekie wędrówki i sprowadza rogacze do naszych lasów, kozły zaś w porze rui przebiegają znaczne przestrzenie, szukając siut, o czem się niejednokrotnie przekonałem. Po zwyczajach, wekslach i zachowaniu się łatwo rozróżnić swoją sarnę od obcej do tego stopnia, że moja służba lasowa nazywa pierwsze swojskiemi. Na śniegu łatwo sprawdzić, zkąd sarny przybyły, i często z zadziwieniem spostrzega się odbytą kilkumilową wędrówkę. Takie badanie sprawia wiele przyjemności, gdy się widzi, jakim wekslem i wiele sarn poszło. Gdy za mało mam strzelców, stawiam na niektórych przesmykach fury. Otóż raz narachowały one 23, drugi raz 27 sarn uciekających przez pola i błota do obcych lasów. Nie mało rogaczów opłaciło życiem te odwidziny. Jak troskliwa i nieustanna opieka przynęca sarny, tak niedbałość kilkumiesięczna rozpędza ten inwentarz leśny, tyle uroku dający polowaniu. Wyżej wymienione cyfry ubitych rogaczów mogą wzbudzić mniemanie o znaczniejszej ilości jałowych sarn, ale jednak w lesie jest wiele sarniąt.

Celem tej korespondencyi jest wykazanie szkodliwości starych rogaczów w naszej okolicy i błędnej podstawy paragrafu ustawy, zakazującego strzelać kozły na wiosnę, gdyż nie wszystkie lasy dozwalają podjazdowego polowania, a kłusownicze zasiadki myśliwemu niemiłe, z tego więc powodu stare rogacze broją przez długie lata.

Olejów, 10. Maja.

Tegoroczna wiosna była wyjątkowa i podobnych zmian atmosferycznych najstarsi ludzie nie pamiętają, zasługuje ona na nekrolog, spisany przez meteorologa. Wywarła nader szkodliwy wpływ na chów zwierzyny i na ciąg ptaków. Mrozy trwające przez kilka tygodni bez śniegu zamroziły ziemię na przeszło metr głębokości i niktby nie uwierzył, że dziś kopiąc, napotykamy zamarznięty grunt, a wilgoć paraliżująca pracę rolnika, nie pochodzi z wierzchu, lecz z głębi się wydobywa. W czasie zimy nastąpiła odwilż lub deszcz, utworzyły się więc trzy kondygnacye śniegu z trzema twardemi skorupami, utrutrudniające grzebanie sarnom; nie drapały też śniegu wcale w tym roku racicami, zające zaś żerowały na ozimych zasiewach, w większej części odkrytych, i mało w lesie przebywały. Śnieżnica, trwająca niemal przez cały miesiąc Wrzesień, potworzyła bagna i jeziorka w lesie, a wilgotna pasza działała szkodliwie na zdrowie sarn, szczególnie młodych siut. Zimna słota trapiła w Kwietniu przy nieustannym wschodnim wietrze, co również uważać należy za wyjątkowe zjawisko. Z cieplejszych krajów pędził wschodni wiatr ptaki, które na przestrzeniach i górach śniegiem okrytych w znacznej części głodową śmiercią poginęły. W ogólności owadożernych i szczudłatych ptaków mało do nas zawitało, prócz znacznej ilości pliszek szarych i słowików, ciąg zaś ziarnojadów był liczny. Ta katastrofa musiała też spotkać słonki, spieszące zwykle do lęgowej ojczyzny, i zastały ją pokrytą śniegiem. Ponieważ Olejów mianowany jest w Galicyi stacyą słonek, mam przeto obowiązek określić ciąg wiosenny tegoroczny. Jedna przyleciała 11. Kwietnia do zupełnie białego lasu i ubitą została; 16go zjawiły się dwie; 17go sześć; 20go sześć; 24go dwie. Wszystkie były pojedyncze, widzieliśmy jedną tylko połączoną parkę. Nie były to ciągnące lub przelatujące słonki, lecz domorodne, znające doskonale grozę polowania, gdyż na wołanie naganiaczy *tire-haut!* świdrowały w górę, odlatywały w dalekie mioty, a niekiedy znikały zupełnie z naszego widnokręgu.

Kazimierz hr. Wodzicki.

Z Szkalbmierskiego, w Marcu.

Upoważniony uprzejmem słowem zachęty, uważam za miły obowiązek przesłać sz. Redakcyi rzecz, ile mi się zdaje dla czytelników „Łowca“ interesującą. Pisać z naszego cichego i spokojnego zakątka zaiste niełatwe zadanie. Gdzie ludzie żyją, stykając się z sobą w wszelkich kierunkach społecznego rozwoju, znajdzie się też w dziedzinie myśliwskiej przedmiot ogólniejszego znaczenia, którym warto się podzielić z szerszem kółkiem. U nas zaś toczy się życie po najzwyczajniejszej drodze codziennych trosk i kłopotów, nie ma więc ani jaskrawszych objawów, ani wybitniejszych zjawisk, któreby za temat do korespondencyi posłużyć mogły, a jak to mówią „z palca

trudno wyssać". Prawdomowność myśliwska używa najniesłuszniej niezbyt dobrej opinii. Niemyśliwi zarzucają nam, że często opowiadamy o wypadkach, które się nie zdarzały i zdarzyć nie mogły. Przeciw takiej potwarzy muszę zaprotestować całą siłą mojego słabego pióra w imieniu wszystkich kolegów w św. Hubercie. W każdej sferze zabiegów ludzkich znajdujemy różnorodność zdarzeń, faktów i kombinacyj często najdziwaczniejszych, w żadnej jednak nie ma tyle niespodzianek, tyle szczególnych objawów, nieprawdopodobnych na pozór, a jednak rzeczywistych wypadków, jak w myśliwstwie. Myśliwi już z powodu częstego obcowania z przyrodą, więcej od innych śmiertelników poetyczni, opowiadając fakt najrzeczywistszy, barwią go i zdobią pięknemi, fantastycznemi ramami, rzeźbionemi polotem ich podnieconej wyobraźni. Profani mięszają treść z poetyczną formą, nie są w stanie ich od siebie odróżnić. Uprzedzenie i zwyczajowe już niedowierzanie nie pozwala im w takiej opowieści ocenić przytoczonego faktu, odłączając go od ramy. Upor i zaciekłość w niedowierzaniu myśliwskim opowieściom doprowadzają ich do tej ostateczności, iż nazywają je ryczałtowo blagą, na co my możemy im odpowiedzieć z pobłażliwością, jako ludziom nie wtajemniczonym w nasz świat: „Nie my blagierami, ale wy niedowiarkami jesteście." Bądź co bądź, nie chcąc puszczać wody na młyn tych antagonistów myśliwskiej prawdomowności, a nie mając dzisiaj żadnych szczególnych wydarzeń do interesującej myśliwskiej opowieści, wolę pozostać w sferze ogólników i donieść wam tylko, że tegoroczne polowania w okolicy naszej, względnie do naszych miejscowych warunków i stosunków, powiodły się wcale dobrze, że padała zwykle dość pokaźna liczba zajęcy i rogaczy; że nie zginął a nawet nie zagubił się ani jeden myśliwy, chociaż parę razy jakaś zabłąkana śrócina drapnęła po łytce chłopaka z nagonki, ale obeszło się bez prawdziwego nieszczęścia, za co niech będzie Bogu chwała. W szczegółowe opisy tych polowań wdawać się nie będę, bo jużciż trudno opowiadać, jak tam do kogoś zjechali się sąsiedzi, o której wstali, kiedy wypili kawę, jaki pierwszy zrobiono zakład, jak tam później ktoś chybił lub prześlepił szaraka, jak się tłumaczył, że „patrzę, idzie panie prawie na sztych, trzymam, palę — myk z dymem leży, ja do niego, a on kicu... kicu... i poszedł". Wszystko to rzeczy mniej ciekawe, a znane każdemu. Powiem więc tylko, jako sens moralny, wyciągnięty z ubiegłej pory polowań, że tutejszy rydwan myśliwski, popchnięty z niemałą pracą na szerszy gościniec postępu, jeżeli nie stoczy się znowu na wązką drożynę, po której ciągnęła go dotąd rutyna z przesądem i po której wlókł się skrzypiąc i utykając co krok o lenistwo, niedbalstwo i różne tego rodzaju impedimenta, to wszyscy amatorowie myśliwskiego sportu będą mogli nadal przejeżdżać się na nim bezpiecznie i z przyjemnością. Św. Hubert, gdy mu przyjdzie ochota rzucić okiem ku naszym niwom i gajom, a zobaczy je rojące się zwierzyną i dobrymi myśliwymi, nie będzie potrzebował chmurzyć swojego oblicza.

Pozwolę sobie rzucić kilka rysów charakteryzujących dzisiejsze i dawniejsze łowiectwo. I dziś tak jak za czasów lekkomyślnej a swawolnej Diany, różni różnie polują. W rozmaitości tej jednak łatwo dopatrzeć pewnych ogólnych cech, nie dających stałego a wyraźnego piętna łowiectwu danej epoki. Każda czynność ludzka nosi na sobie podwójną cechę: ducha epoki, w której się spełnia, i indywidualną jednostki, która jej dokonywa. Zjawisko to uwydatnia się bardzo jaskrawo i w łowiectwie. Nie pisząc historyi myśliwstwa, nie mogę zapuszczać się w szczegóły i snuć przed oczami czytelnika skończonego obrazu jego kolejnych przemian, powiem tylko, że w każdej epoce rozwoju ludzkości odznaczało się łowiectwo odrębnemi a odpowiedniemi jej cechami. I tak w czasach najodleglejszych polowanie było po prostu sposobem wyżywienia się dla przeważnej ilości koczujących plemion. Człowiek na pół zwierzę, polował na zwierzynę, to też polował tak, jak poluje dziś tylko tygrys, żbik lub pantera. Jedyną pobudką i celem ówczesnych łowów była korzystna zdobycz, polowano też chciwie, zawzięcie, podstępnie, dziko. Epoka feudalna nadała znowu łowom inny całkiem charakter. Klasa, która dzierżyła wówczas w swym ręku wszystko, rozumiała dobrze, że panowanie jej upadnie z chwilą, w której zatraci w sobie przymioty rycerskie, siłę, odwagę i lekkceważenie niebezpieczeństwa, to też gdy cichły surmy wojenne, grzmiały po kniejach myśliwskie rogi. Rycerz-myśliwy, gdy zawieszał w zbrojowni bojową kopię, chwytał za oszczep i z nim gonił w ostępie dzikiego zwierza, ale tylko takiego, którego za godną siebie uważał zdobycz, płoche i lękliwe zostawiając pachołkom. Celem ówczesnych łowów nie była praktyczna korzyść, ale raczej objawem odwagi i dzielności, wyrobieniem siły i zręczności. Było to polowanie takie, jakim był myśliwy: trudne, niebezpieczne, ale wspaniałe. Cechę tę nosiło ono do chwili, z którą znikł wszelki przywilej, gdyż i łowy przywilejem były, tylko mniej od innych bezpiecznym. W naszych czasach, gdy ludzkość zrównana demokratycznym strychulcem, łowy są nieco odmienne i nie każdy współczesny nemrod podjąłby się chętnie:

Żubra z ostępu wywieść za rogi
I kudły niedźwiedzie podesłać pod nogi...

chyba dobrze wyprawne. A jednak bądź co bądź jest to i dziś jeszcze najbardziej rycerskie zajęcie. Tylko podług stawu grobla, a podług epoki rycerz. Łatwiej było może jakiemu ówczesnemu siłaczowi, co głowy jednym ścinał zamachem, zakłuć rozjuszonego odyńca, niż dzisiejszemu myśliwemu zrobić dublet do bekasów. Trzeba przedewszystkiem być sprawiedliwym i oddać co komu należy, nadto nie zapominać, że żyjemy u schyłku XIX. wieku, czyli w epoce równości, wygód, używania i dochodzenia jak najprędzej do celu, chociażby depcząc po cudzych piętach, a w ostateczności nawet i głowach. Siła fizyczna, zręczność w władaniu bronią, osobista odwaga, były to przymioty, którymi jednostka zdobywała sobie dawniej stanowisko i znaczenie. Polowano też, by nie zgnuśnieć i do rycerskich uzdolnić się zapasów. Dziś dochodzi się do czegoś umiejętnością, pracą, ładem, mądrą organizacyą, zręcznem wyzyskaniem warunków i okoliczności, słowem tem wszystkiem, czem wywalcza się zwycięstwo w nowoczesnym turnieju. Znikli feudalni rycerze, a zamki ich tylko pięknemi jeszcze sterczą ruinami. Miejsca ich zajęli inni, walczący nie o różnobarwną wstęgę, którą piękna hrabianka zbroję zwycięzcy zdobiła, lecz o środki do użycia tego wszystkiego, co nowoczesna cywilizacya jako nagrodę dla najdzielniejszych przeznacza. Mniej dziś poezyi, to prawda, lecz tym, którzy się najdzielniejszymi okażą, byle godziwie i szlachetnie walczyli, miana rycerzy odmówić nie wolno, łowy zaś pozostaną dla nich i dzisiaj najwyborniejszą szkołą do nabycia potrzebnych przymiotów. Dobrym myśliwym, obecnie, nie jest ten, kto celnie strzela, to tylko dobry strzelec. Z chwilą, w której okazało się, że nie wystarcza wejść w las, aby spotkać zwierzynę, z pojęciem o dobrym myśliwym wiąże się nierozdzielnie pojęcie o umiejętnej hodowli zwierzyny. Trzeba ją umieć rozmnażać, żywić, chronić i opiekować się nią, co wszystko rozwija w człowieku ducha organizacyi, systematyczności, cierpliwości i zapobiegliwości. Trzeba dalej umieć polować u drugich i urządzać u siebie dobre po-

lowanie. Koniecznymi do tego przymiotami ostrożność, karność i umiejętna a energiczna komenda. Zresztą bez bystrego rzutu oka, bez zręczności, przytomności, wytrwałości i dziś dobrym myśliwym być nie można. I nam gnuśnieć nie wolno, a trochę więcej hartu, nieco fizycznego zmęczenia, natężenia sił, użycia małej niewygody, słowem wszystkiego, z czem na polowaniu z samej natury rzeczy obeznać się przyjdzie, nie zaszkodzi z pewnością na wzmocnienie cienkich kosteczek i uspokojenie podrażnionych nerwów dzisiejszej generacyi. Chociażby więc z tych już tylko względów, sądzę, że szanowny czytelnik zgodzi się na zdanie, że tak jak dawniej, tak też i dzisiaj łowy są prawdziwie rycerskiem zajęciem.

W. N.

Wasylówka, Kwiecień.

Tylko myśliwy, przywykły tropić, może celu dosięgnąć. Otóż czytając „Łowca“, dotropiłem dawnego i serdecznego kolegę, Marcelego Tyszkiewicza, którego adresu nie mam, a radbym przypomnieć sobie i Jemu nasze dawne gawędy myśliwskie, które dziś w „Łowcu“ umieszczam, licząc na to, że Marceli czytając „Łowca“, znajdzie tę pierwszą moją odezwę do Niego. Mija już jedna trzecia kopy lat, jakeśmy się rozstali, ale z przyjaźni wiek kwitować nie ma prawa, więc jakby z letargu obudzony odzywam się do Ciebie, kolego i druhu stary, proponując, byśmy ze sobą choć za pośrednictwem „Łowca“ myślami i wspomnieniami czasem podzielić się mogli. Nie mało lat mi przybyło, ale siły i ferwor myśliwski nie opuszczają mnie, owszem wzmacniają się z wiekiem, a polując od tak dawna, nie mały mam zapas epizodów, które radbym przekazać „Łowcowi“ w celu przysporzenia myśliwym materyału do studyów, pożytecznych dla myśliwstwa. Znajdą się też jeszcze ludzie, którzy prawdziwość opowiadań moich w każdej chwili potwierdzić będą gotowi. Ach! gdyby to psiarnia moja o wspólnych z nią przygodach moich mogła opowiadać. Takie żywe słowo poruszyłoby nawet profana, żyda-arendarza przerobiłoby na strzelca. Bo tylko ja myśliwy i mój towarzysz pies umiemy odczuwać w zupełności najsubtelniejsze odcienia wrażeń, wydarzających się w życiu myśliwskiem. Czasy się zmieniły. Kolego, nie poznałbyś dzisiaj Ukrainy naszej, chyba w wspomnieniach odtworzyłbyś dawną jej postać. Nie ma już ludzi, z którymi się żyło, ani tych radości życia, które nas węzłem serdecznych stosunków łączyły. My tylko dwaj zostali, jak dwa odyńce w kniei — ja i Konstanty, którego pamiętasz, choć to już kawał czasu, jak Cię losy w obczyznę zagnały. O Arturze tylko od starego waszego czegoś dowiedzieć się można, ale szczegółów prawdziwych wcale nie mamy; jeżeli masz o nim jaką wiadomość, napisz, wszak wiesz, jak go serdecznie kochałem. Młodzież dzisiejsza, z którą na polowaniach emulować musimy, nie dla nas to towarzysze. W wytrwałości i ferworze przez nią prześcignąć się nie dajemy, ale przyjdzie kréska na Matyska, wypadnie broń złożyć, a bawić się jedynie wspomnieniami. Wysyłam je więc zawczasu do waszego „Łowca“. Prawdziwy Twój przyjaciel i dobrych czasów kolega. Antoni Zapolski. Adres mój: Browki, stacya kolei południowo-zachodniej Wasylówka.

Z m a r t w y c h w s t a n i e c. Polując w roku bieżącym na Ukrainie w Lipkach, w powiecie Skwyrskim, u sąsiada Leona Podhorskiego, dziwne miałem zdarzenie, które pragnę opowiedzieć kolegom myśliwym, dołączając przestrogę, by po strzale na pozór śmiertelnym nie cieszyli się na pewne trofeami zwycięstwa. Otóż polując na wilki w ostępie, gdzieśmy się spodziewali całego gniazda, gdy knieja już była obrzucona sieciami, rozstawiono nas na stanowiskach i zapanowała cisza grobowa. W latach już podeszłych dogadzając steranym siłom, nosiłem przy sobie malutkie krzesełko, na którem zasiadałem na stanowisku, oczekując w nieruchomości, co los myśliwski nadarzy. Zagrały trąbki, dał się słyszeć gon psiarni, ledwo kilka ubiegło minut, widzę przed sobą dwa stare wilki, które wypatrując i wysłuchując, widocznie pragną chyłkiem wysunąć się z kniei. Natknąwszy na moje stanowisko, rozdzielają się, jeden idzie w prawo, drugi w lewo, przyspieszając kłusa. Że mi wyszły na strzał niedaleki, bo na 40 ledwie kroków, zwaliłem śrótem obydwa na miejscu. Więcej ich w tej kniei nie było. Myśliwi rozciekawieni strzałami schodzą się do mego stanowiska, i widzą dwa trupy w miejscach strzału, więc winszują mi (nie upewniam, czy szczerze) i wypatrują postrzały, przewracając wilki to w tę to w ową stronę. Śróty jednemu z nich przeszyły na wylot komorę, ale jeszcze zipał, dobito go, uderzając w nos obcasami, a drugi już był zimny. Była to pora śniadania, więc zastawiają przysmaki myśliwskie, które przy gawędce spożywamy, a trwało to z pięć kwadransów. Wtem słyszymy trąbki dojeżdżaczów, zwołujących psy, ale daje się równocześnie słyszeć gon kilku psów; rozbiegamy się na stanowiska, a ja siadam na krzesełku, wysłuchując, w której stronie psy gonią, a że nie ku mnie, więc swobodnie zapalam cygaro. Wtem słyszę szelest w liściach w stronie, gdzie leżał wilk przeszyty na wylot i nie dający już znaku życia, i widzę go już na 60 kroków od siebie. Zwinąłem się na krześle tak gwałtownie, że się aż złamało, strzelam — góruję, rzucam strzelbę i pędzę w stronę, gdzie mi znikł z oczów, dopadam może o sto kroków mego dezertera z wyciągniętą głową i nogami rozwartemi. Zrobił na mnie takie wrażenie, jak gdybym skórę wilczą przydybał na trawie. Chwytam wilka, ciągnę, a wtem nadbiegają myśliwi i widząc, jak wlekę wilka, winszują nowego sukcesu, a gdy ich upewniam, że to ten sam, który leżał pięć kwadransów martwy, nie wierzą i szukają trzeciego koło mnie, sądząc, że ich mistyfikuję. Trudno opisać moją emocyę w skutek takiej niezwykłej katastrofy.

Antoni Zapolski.

KRONIKA.

Suwałki, Kwiecień.

Twierdzą powszechnie, że myśliwi chętnie pływają, t. j. kłamią, ja tu będę wyjątkiem, bo opowiem fakta prawdziwe. Było to około roku 1852 czy też 1853, przy końcu Października. Padały deszcze, śniegu i przymrozków jeszcze nie było. Zrana przychodzi chłopak Andrzej (dziś strzelec koło Augustowa) i mówi: „Panie, deszcz nie pada, wiatru nie ma, psy już dawno w polu nie były, trzebaby ruszyć do lasu.“ A ja na to: „Dziś nie mam czasu, odłóżmy to na inny dzień.“ Andrzej odszedł markotny. Kiedym o pierwszej z południa wrócił z trybunału do domu, Andrzej znowu molestuje. Wdziałem więc buty, wziąłem dubeltówkę pistonówkę, a chłopak pojedynkę, zabrałem trzy ogary i poszliśmy pod Ustroń, o trzy wiorsty od Suwałk. Nie przeczuwałem, że mnie w tym dniu spotkają niezwykłe konfuzye. Ledwo wyszliśmy za miasto, poczyna prószyć deszcz, a potem śnieg sypnął dużemi płatami. Chciałem wracać, ale chłopak przemówił do ambicyi i poszliśmy w las. Chłopak z dwoma psami poszedł w prawo, a ja z Krywulem w lewo. Po kilkunastu minutach spostrzegam, że Krywul niespokojny, wietrzy po ziemi pokrytej śniegiem i szybko bieży naprzód. Pędzę za nim, ale wnet straciłem go z oczów. Deszcz i śnieg prószą, więc stanąłem pod świerkiem, oparłem się o pień, fuzyę z odwiedzionymi kurkami trzymam na zgięciu lewego

łokcia, nie zwracając uwagi na to, że pistony odkryte zamokną. Po kilku minutach słyszę jakieś warczenie, jak gdyby pies się gniewał lub lękał. Patrzę przed siebie, a tu mój Krywul z ogonem stulonym pod brzuchem rznie prosto ku mnie, a ciągle ogląda się w tył. Gdy zbliżył się na piętnaście może kroków i mnie zobaczył, odwraca się nagle, siada na ziemię i wyszczerza zęby w stronę, zkąd przyszedł. Patrzę i widzę, że ledwie na dziesięć kroków przed psem stoi jakieś zwierzę. W mgnieniu oka składam się i palę z prawej lufki, ale zamiast wystrzału, piston tylko plask. Wtedy spostrzegłem, że to był wilk. Chcę strzelić z lewej lufy, ale ani śladu wilka, znikł jak błyskawica. Wołam chłopaka, przybiega z psami, puszczamy na trop, ale psy ogony spuściły i odejść od nas nie chcą. Opowiadam zdarzenie, chłopak pokiwał głową i splunął. Poszliśmy za tropem i doszliśmy do miejsca, gdzie leżało niezupełnie jeszcze dojedzone udo konia. Widać wilk wlókł to udo, a pies chciwy uczty pędził do ścierwa, nie wiedząc, że znajdzie przy niem nieproszonego gościa, a gdy zobaczył wilka, umknął, a wilk za nim, aby się uraczyć żywem psim mięsem. Na próbę pociągnąłem za lewy cyngiel, a strzał rozległ się jak z moździerza. Czemuż z lewej lufy nie strzeliłem, byłbym niezawodnie położył szkodnika na miejscu.

Ale nie na tem był koniec moich przygód w tym dniu. Nabiłem fuzyę i chodziliśmy jeszcze z godzinę. Psy nic zwietrzyć nie mogły, bo śnieg ciągle sypał i pokrył ziemię grubą białą płachtą. Chłopak połapał i posforował psy, idziemy starym traktem do miasta i gawędzimy o wilku. Byliśmy już tylko o wiorstę od miasta, gdzie na prawo od drogi wielka łąka, a wśród niej jeziorko. Naraz mówi Andrzej: „Czy pan słyszy?“ — „Co takiego?“ — „Siewki gwiżdżą.“ — „Głupiś. Siewki na śniegu?“ — „Dalibóg panie, siewki.“ — Słucham, prawda, a głosy idą z łąki. Już było szarawo, ale łąka biała, więc widać wszystko jak na dłoni. Chłopak pozostał na drodze z psami, a ja powoli wszedłem na łąkę i patrzę, gdzie te siewki? Staję i wytrzeszczam oczy, nic nie widać, wszędzie śnieg, a o jakie 50 kroków zieleni się łąka, okrągła jak talerz, do 15 łokci średnicy. Oczywiste, siewki siedzą na tej łące, ale jak je dojrzeć przy zmroku? Podchodzę na kroków 30 i wlepiam oczy w łąkę. Nagle zrobiło mi się gorąco, jakby mnie kto warem oblał. To, co brałem za powierzchnię łąki, była ćma odlatujących na zimę siewek, osiadła na łące na nocleg, zziębnięta i zmoczona. Jedne z nich podnoszą głowy, drugie wachlują skrzydłami, gotując się do lotu. Bez namysłu składam się i palę w kupę, a tu piston plask! Zrywa się stado jak chmura, ja palę w nią z drugiej lufy i znowu plask! Chłopak stojący na drodze, wrzasnął: „A niech pana wszyscy diabli porwą!“ Zwiesiłem głowę i nie odrzekłem ani słowa, bo między myśliwymi, jak wiadomo, demokratyczne zwyczaje i koleżeństwo i różnica stanów nie bardzo obserwowana, zresztą byłem przygnębionym. Milcząc ruszyliśmy do domu, a gdy potem chłopak niecnota opowiadał teściowi memu, co nas spotkało, ze skruchą przyznalem się do winy, bo trzeba mi było fuzyę opatrzyć należycie, dać pistony, a na nie położyć kłaki. Odpokutowałem ciężko, nasłuchałem się dosyć żartów od kolegów myśliwych. Odtylcówek podówczas jeszcze nieznano. Gdybym był miał wtedy odtylcówkę albo pistonówka nie zawiodła, miałbym był wilka i z kopę siewek, bo było ich z tysiąc i nigdy później tak wielkiego stada nie widziałem.

* * *

Przed laty, a dużo już wody odtąd upłynęło, pojechaliśmy w kilku na bagna Poszeszupskie na dubelty. Po drodze zatrzymaliśmy się przed oberżą na popas. Miejscowy szynkarz, także myśliwy, napierał się, aby go zabrać, ale odpowiedzieliśmy, że bryczka ciasna i ruszyli dalej. Ledwośmy weszli na bagno, patrzę, ów szynkarz nadjeżdża swoją furmanką i idzie za nami w bagno z wyżłem. Kiedy się zbliżył, widzę, że czerwony, uśmiechnięty i niezwykłej fantazyi. Widocznie potężnie się urżnął. Mówię do niego: „A jakżeż będziesz strzelał, kiedyś ścięty?“ A on na to: „Panie patronie, jeszcześ młody, nie masz doświadczenia. Jak się dubelt zerwie, to on w oczach pańskich mniejszy od kuropatwy i dlatego łatwo chybisz, a kiedy ja łyknę, to dubelt dla mnie tak wielki jak czapka, więc nie chybię.“ Ztąd sens chyba moralny, że kto chce celnie strzelać, musi naprzód robaka zalać, i tej też zasady trzymają się wiernie myśliwi-włościanie.

* * *

R e g u ł a a r y t m e t y c z n a $10 - 5 = 0$. Kiedym chodził do szkół w Suwałkach, zjeżdżał w końcu każdego roku wizytator z Warszawy. Raz przypadła kolej na wizytatora R., specyalistę matematyka. Egzaminował wielu. zwłaszcza tych, którzy chcieli poprawić stopnie. Był wtedy w pierwszej klasie W. T., próżniak, z powierzchowności gapa, a jednak z cicha frant. Podnosi on rękę, a wizytator pyta: „A co kawaler powie?“ — Chciałbym poprawić stopień z arytmetyki.“ — „Dobrze, moje dziecko, chodź do tablicy.“ I kazał mu napisać kredą cztery rzędy liczb i zsumować je. Poszło to z trudnością, ale jakoś się udało. „A teraz — rzecze wizytator — przejdziemy do odejmowania z pamięci. Na drzewie siedzi 10 wróbli; strzelasz, 5 wróbli spadło, ileż pozostało na drzewie?“ — Ale ja panie wizytatorze strzelać nie umiem.“ — „No, to wyobraź sobie, żeś już dorosły, masz fuzyę i strzelasz, wieleż wróbli pozostało na drzewie?“ — „Żaden, panie wizytatorze.“ — Jak to żaden? Uważaj tylko moje dziecko.“ Tu wizytator podnosi obie ręce do góry, wystawia dziesięć palców i mówi: „Oto spadło 5 wróbli (tu spuszcza prawą rękę, a lewą trzyma w górze), wieleż wróbli pozostało na drzewie?“ — „Żaden.“ — „Jak to żaden? pięć?“ — „Przepraszam pana wizytatora, bo zdrowe, nietrafione, uleciały z drzewa ze strachu.“ Cała klasa wybuchnęła głośnym śmiechem, nawet poważny i szanowny dyrektor gimnazyum, ś. p. Wł. Zdanowski, i sam wizytator musiał roześmiać się. Wizytator zwrócił się do dyrektora i rzekł: „Nie tak on ograniczony, jak się wydaje, trzeba mu stopień poprawić.“ I poprawił z małego na mierny. Więc tedy pewnik arytmetyczny: $10 - 5 = 5$ jest w praktyce myśliwskiej mylnym.

R. Wierzbicki.

Wasylówka (gub. Kijowska), Kwiecień.

Jakkolwiek nie powininem sprzeciwiać się zasadzie, to jednak jako stary i doświadczony myśliwy własną praktyką doszedłem do przekonania, że system układania psa legawego dopiero po skończonym roku często myśliwych zawodzi. Gdym się trzymał tej zasady i wyprowadzał psa teoretycznie dresowanego w pole, musiałem nieraz trwożyć go, a nawet strzelać, aby go pohamować. Środki te nie wiele pomagały, a psu pozostawały na zawsze narowy, które miały dosyć czasu utwierdzić się. Taki pies męczy myśliwego, a połowa znalezionego ptactwa najczęściej bez strzału ulatuje. Praktyka trzydziestoletnia nauczyła mnie, iż należy pieska po pięciu, a suczkę po czterech miesiącach w pole wyprowadzać, wtedy dresują się one z łatwością już na pierwszem polowaniu i akomodują się myśliwemu według szkoły, jakiej dla nich użyje. Gdy się nie nadużywa pieska w pierwszym roku, to nie traci on sił, owszem staje się wytrwalszym, węch się rozwija, a jeśli kiedykolwiek nosacizny dostanie, przebywa ją lekko, bez złych następstw w przyszłości. Mam obecnie psa, który mi ośm lat służy; po czterech miesiącach zacząłem z nim polować i to twardo, jest zdrów i silny, wiatr ma zadziwiający, chociaż już w późniejszym wieku nosaciznę przebywał. Pamiętnym mi jest jeden fakt, który przytoczyć muszę. Miałem raz suczynę, trzymiesięczną pointerkę drobnej rasy. Oszczędzając ją, wziąłem do siatki przy torbie i ruszyłem na bekasy. Mój pies, skoro wszedłem na błoto, stanął do dubelta, wyjąłem drzemiące prawie szczenię z siatki i puściłem do psa stojącego. Ona podbiegła, wlepiła oczy w psa i wyciągnęła ogonek. Gdy po chwili dubelt się poderwał i padł zbarczony, suczyna się za nim rzuciła, ale dała się powstrzymać moim głosem, a że ptak podskakiwał, niecierpliwiła się, więc pozwoliłem jej obwąchać dubelta, poczem wnet wróciłem do domu. Po upływie miesiąca jadę z samą suczyną na błota i to na tę samą rudę, na której prymicyę swoją odbyła. Puściłem ją, a ona stanęła na tem samem miejscu, widocznie przypomniała sobie dawnego dubelta, ale nic tam nie było. Znalazłem kilka par dubeltów, a do każdego stawała jak stara. Służyła mi lat dziesięć, później nogę złamała, a choć kostopraw licho ją złożył, to jednak służyła jeszcze przez pięć lat jako sławna przepiórkarka przy rozjeździe. Pies gdy się za młodu zapozna z ptakiem i wcześnie nauczy się instynkt ptaka prześcigać, to staje się dla myśliwego istotnie pożytecznym skarbem. Doświadczenie to moje ogłaszam nie dla sprzeciwienia się aprobowanej i przyjętej zasadzie, lecz dla poddania przedmiotu do dalszych doświadczeń, a wymieniam tu fakta, oparte na ścisłej prawdzie.

Antoni z Rokszyc Zapolski.

Derewnia, 14. Maja.

Dnia 9. b. m. z rana znalazła moja straż leśna postrzeloną sarnę (kozę), leżącę pod krzakiem w rewirze Zachatka, granicznym z lasami wsi: Dworce, Butyny i Subela. Farba była jeszcze nieskrzepnięta, widocznie więc koza tego samego dnia o świcie została postrzeloną, była zaś tak mocno pokaleczoną, że nie pozostawało nic innego, jak dorżnąć ją. Położenie lasu, w którym kozę znaleziono, jest tego rodzaju, że nie można było wyśledzić na pewne, z której strony przyszła, w którym z trzech powyższych lasów postrzeloną została, a to tem bardziej, że we wszystkich tych trzech miejscowościach zdarzają się częste wypadki kłusownictwa. O tem przykrem dla każdego prawdziwego myśliwego zdarzeniu zawiadamiam równocześnie sz. delegata i św. c. k. Starostwo.

Tadeusz Starzyński.

Bieżdżatka, 20. Maja.

W dniu 12. Maja b. r. dał mi znać zaprzysiężony leśny gminy Brzyszczki, że w krzakach do pomienionej gminy przynależnych, w których obszar dworski Bieżdżatka polowanie dzierżawi, znalazł sarnę nieżywą. Przyzwawszy swojego leśnego zaprzysiężonego, udałem się na miejsce i rzeczywiście znalazłem siutę nieżywą. Rozciąwszy ją, przekonałem się, że została zastrzeloną śrótem nr. 4 lub 5, jakim właściwie, trudno było poznać, gdyż był bardzo spłaszczony. Cóż znajduję dalej? Prawdziwie rzecz zadziwiającą: oto wyjmuję z niej czworo młodych, dwa rogaczyki i dwie siutki, wszystkie dobrze wykształcone, tak, że co do wielkości na jeden centymeter jedno od drugiego się nie różniło i tak już wyrosłe, że niezawodnie w paru dniach byłyby na świat przyszły. Każdy zapewne z panów myśliwych wzruszy ramionami i uśmiechnie się z niewiarą, iżby sarna mieć mogła czworo młodych, ja jednak za pośrednictwem „Łowca" podaję do wiadomości wszystkim panom przyrodnikom, badaczom i myśliwym ów fakt prawdziwy, który sześciu świadków stwierdzić może. O śledztwo za kłusownikiem, który tę prawdziwą zbrodnię popełnił, podano do c. k. Starostwa w Jaśle i mam nadzieję, że ono zechce użyć całej energii i gorliwości w celu wykrycia i ukarania tego zbrodniarza.

Stanisław Mroczkowski, leśniczy.

Wykaz ubitej w Galicyi w roku 1882 zwierzyny według podań c. k. Starostw.

Pożytecznej: jeleni 30, danieli 12, sarn 4000, kozic 0, dzików 890, zajęcy 49.833, królików 10, bobaków 0, głuszców 44, cietrzewi 351, jarząbków 974, pardw 12, kamionek 0, bażantów 512, kuropatw 19.064, przepiórek 25.544, słonek 6382, bekasów 16.397, dzikich gęsi 366, dzikich kaczek 13.237.

Szkodliwej: niedźwiedzi 23, wilków 107, rysiów 16, lisów 4898, kun 496, tchórzów 581, wydr 187, żbików 22, borsuków 296, orłów 292, puhaczów 203, jastrzębi, sokołów, krogulców 5568, sów 1153.

Jeleni ubito: Bohorodczany 3, Chrzanów 23, Dolina 1, Kałusz 2, Łańcut 1; dzików największe liczby: Bohorodczany 30, Dolina 56, Drohobycz 42, Kałusz 36, Nisko 36, Sokal 48, Złoczów 34, Żydaczów 32; głuszców: Bohorodczany 12, Dolina 3, Kosów 15, Limanowa 3, Nadwórna 5, Stryj 6; pardw: Kałusz 12 (?); niedźwiedzi: Bohorodczany 5, Dolina 6, Kosów 2, Lisko 2, Nadwórna 5, Stryj 3; wilków. Bohorodczany 1, Borszczów 3, Brody 3, Buczacz 3, Cieszanów 3, Dobromil 1, Dolina 1, Drohobycz 2, Gorlice 2, Horodenka 1, Husiatyn 3, Jarosław 2, Kołomyja 4, Kosów 9, Krosno 2, Lisko 7, Lwów 3, Nadwórna 2, Przemyśl 1, Przemyślany 1, Rawa 3, Sokal 7, Staremiasto 3, Stryj 5, Tarnopol 1, Tarnów 2, Trembowla 4, Turka 15, Zbaraż 3, Złoczów 7, Żółkiew 3; rysiów: Bohorodczany 2, Dobromil 3, Dolina 2, Kałusz 1, Lisko 1, Nadwórna 4, Stryj 3.

Dziękując szczerze panu radcy lasowemu Gustawowi Lettnerowi za łaskawe przesłanie nam tego wykazu, który porównany z wykazami urzędowymi lat poprzednich, umieszczanymi w „Łowcu", daje w przybliżeniu obraz zwierzostanu krajowego, ośmielamy się zapytać, z jakiej przyczyny wykaz, oparty na podaniach c. k. Starostw, ułożony jest w języku niemieckim?

Wykaz ubitej zwierzyny pożytecznej i szkodliwej w latach 1881 i 1882, w dobrach państwa Zator hr. Augusta Potockiego. R. 1881 pożytecznej: zajęcy 1019, bażantów 161, kuropatw 825, przepiórek 19, chruścieli 6, kaczek 278, słonek 2, dubelta 1, bekasów 42, kulonów 2, kulików 31, razem 2386; szkodliwej: lisów 6, tchórzów 16, łasic 60, psów 120, kotów 191, sępów 5, sokołów 8, jastrzębi 91, krogulców 58, kruków 2, wron 230, gawronów 52, srok 238, czapel 4, razem 1081. Suma ogólna 3467. R. 1882 pożytecznej: sarnę 1, zajęcy 990, bażantów 241, kuropatw 1205, przepiórek 38, chruścieli 55, kaczek 277, słonek 5, bekasów 158, kulona 1, kulików 19, gołębi 9, gęś 1, razem 3000; szkodliwej: wydr 4, lisów 8, kun 2, tchórzów 35, łasic 190, psów 109, kotów 176, sępów 9, sokołów 9, jastrzębi 72, krogulców 33, wron 707, gawronów 81, srok 383, czaplę 1, wydrzyka 1, razem 1820. Suma ogólna 4820.

Zator, 3. Maja 1883.

W. Parik.

W Korsowie, majątku p. Bogusława Horodyńskiego zabito w roku bieżącym: rogaczy 4, zajęcy 37, dzików 4, lisów 16, kunę 1, kotów 11, psów 7, jarząbków 5, słonek 3, przepiórek 34, chruścieli 22, kaczek 15, dubeltów 271, kszyków 16, kurek 2, czapli 2, bąka 1, orła gadożera 1, jastrzębi 25, kruków 6, srok 9, razem 492 sztuk. Zające oszczędzano, do kuropatw wcale nie strzelano.

K. Wilczyński, leśniczy.

Wykaz ubitej zwierzyny w rewirach gminy m. Lwowa od 1. Kwietnia 1882 do 1. Kwietnia 1883. Dzików 2, rogaczy 13, zajęcy 299, słonek 59, kaczek 18, przepiórek 46, kszyków 95, dubeltów 33, chruścieli 28, kurek 12, gołębi 11, lisów 12, kotów 6, sów 9, razem sztuk 645. Jednego rogacza znaleziono nader wychudzonego, martwego w skutek motylicy, drugiego nadszarpanego przez lisy.

Z Towarzystwa myśliwskiego miejskiego.

Lwów, 15. Maja 1883.

Fr. Ehrlich
skarbnik Towarzystwa.

Spis zwierzyny ubitej w ciągu roku 1882 w obrębie dóbr państwowych.

W obrębie państwa	Zwierz drapieżny i szkodliwy										Zwierzyna użyteczna										
	Sztuki																				
	Niedźwiedzie	Wilki	Rysie	Lisy	Kuny	Wydry	Żbiki	Dziki	Borsuki	Razem	Jelenie	Rogacze	Zające	Głuszce	Cietrzewie	Kuropatwy	Jarząbki	Słonki	Kaczki	Gęsi	Razem
Kuty	1	6	—	9	1	—	—	2	—	19	—	49	79	10	5	—	49	—	—	5	197
Peczeniżyn	—	—	—	22	—	—	—	9	—	31	—	29	61	—	—	—	2	8	—	—	95
Delatyn	3	2	—	9	3	—	—	13	3	33	—	22	42	—	—	5	7	3	1	—	80
Kałusz	—	—	1	12	2	—	—	4	—	19	2	29	44	—	—	—	4	12	—	—	91
Dolina	2	—	—	21	2	—	1	32	—	58	—	32	20	1	—	—	16	8	—	—	77
Bolechów	—	—	—	—	1	1	—	9	—	11	—	1	2	—	—	—	1	1	—	—	5
Drohobycz	—	1	—	18	—	—	—	7	—	26	—	28	62	—	—	—	4	3	—	—	97
Dobromil	—	—	3	8	3	2	2	8	—	26	—	40	29	—	—	3	17	5	—	—	94
Niepołomice	—	—	—	52	3	—	—	3	8	66	—	96	493	—	—	198	—	10	56	—	853
Razem	6	9	4	151	15	3	3	87	11	289	2	326	832	11	5	206	100	45	57	5	1589

Bez uwzględnienia wydzierżawionych okręgów, a mianowicie Łopianki w państwie Dolińskiem, Bolechowa i Lisowic w państwie Bolechowskiem.

Krukienice, Maj.

Upraszam najuprzejmiej o umieszczenie wyjaśnienia, a raczej odpowiedzi p. Miazdze. Twierdzenie jego, jakoby samura tylko w obronie swych dzieci rzucała się na myśliwego, jest mylne, nietylko bowiem sam kilkanaście razy doświadczyłem, iż locha bez prosiąt się rzuca, ale też jedna samura pokaleczyła w Krukienicach leśnego tak ciężko, że kilkanaście dni przeleżał, druga rzuciła się gwałtownie na Zygmunta hr. Drohojowskiego, trzecia zaś na hr. Stadnickiego. Spotkałem się z nią w zbitym gąszczu tak, że na dwa kroki strzelić nie mogłem; gdy szarżowała na mnie, widziałem dokładnie jej zęby wielkie, więc mogłem je uważać za kły odyńca. To pewne, że w wielkim gąszczu żaden myśliwy samury od odyńca nie rozróżni. Straż leśna obtropiwszy owego pojedyńczego dzika, twierdziła z całą pewnością, iż odyniec jest w miocie: czy i to wyda się panu Miazdze zagadkowem? Sam hr. Stadnicki, na którego samura natarła, płci odróżnić nie mógł. Dzika tego nie wzięliśmy w dniu polowania, nazajutrz dopiero odszukano go i odstawiono do Krysowic i wtedy dopiero dowiedziałem się, że to była stara locha, ale już

korespondencya o tym wypadku wysłaną została do Redakcyi „Łowca“. Pomyłkę moją sprostował hr. Stadnicki. Wreszcie zkądże u pana Miazgi ta pewność, że dzik, którego ja widziałem, był „odyńcem w spodnicy“, jak się niby dowcipnie wyraża? Otóż w tym samym miocie widział hr. Kazimierz Drohojowski dużego, kulawego, postrzelonego odyńca, który wrócił na nagonkę i prawdopodobnie w miocie pozostał. Czyż nie mogłem z nim w gąszczu się spotkać i przypuszczać, że to on szarżował na hr. Stadnickiego?

Jan Ostrzechowski.

Wej. St. P. z Maćkowic. Korespondencyi przesłanej nam umieścić nie możemy, bo nie jest ona ściśle przedmiotowo traktowaną. Humorystyka tego rodzaju, usiłująca ośmieszyć spełniony obowiązek, nie znalazła i nie znajdzie nigdy miejsca w naszem piśmie, które zawsze poważniejsze cele ma na względzie. Raczy przeto sz. korespondentka zmienić treść i formę listu swego, przedłożyć poważnie rzecz w świetle swego zapatrywania na nią, a wtedy najchętniej korespondencyę umieścimy.

Starzyska, 28. Kwietnia.

Pospieszam z doniesieniem o dalszych losach sławnego dzika, zajadacza strychniny, o którym w poprzednim numerze „Łowca“ zdałem sprawę. Zginął on wreszcie od 8 strzałów syna mego Aleksandra, który zraniwszy go poprzednio w miocie, miał wytrwałość prześladowania go dalej jak mil trzy, strzelając do niego przy każdem spotkaniu. Ubił go w końcu w wodzie, na rzece Zwinieczka, ostatnim ładunkiem, jaki miał przy sobie, oddalony o milę od mieszkania śród borów, zkąd w ciemnej nocy przybył z trupem jako pogromca historycznego „schwarzen Prinzen“, jak go tutejsi leśniczowie nazwali. Polowano na niego 16 razy i wszyscy, prócz mnie, strzelali do niego po kilka razy bezskutecznie.

E. Weissmann.

Tarnów, 27. Kwietnia.

Za Tarnowskim „Orłem“ powtórzył „Łowiec“ w nr. 2, jakoby z przyczyny znacznej ilości myśliwych w m. Tarnowie stan zwierzyny w okolicy miasta z trudnością się podnosił. Podania „Orła“ nie zbijaliśmy, gdyż zbiera on wiadomości kronikarskie, jak zwykle dziennikarze, na bruku miejskim, lecz ponieważ „Łowiec“ je powtórzył, to winien jestem, jako dzierżawca jednego z najbliżej miasta położonych polowań, zarzut ten odeprzeć i donieść, że w mieście naszem jest tylko dość skromna liczba myśliwych, i że właśnie w okolicy miasta samego, gdzie myśliwi miejscy polowania od dawna trzymali i trzymają, stan zwierzyny jest obfity. Dzierżawcy polowań zostawiają z końcem każdego roku po kilkadziesiąt zajęcy i kilka stad kuropatw, o ile zaś sposobność się nadarzy, czuwają nad przekupniami, aby w czasie zakazanym zwierzyny publicznie nie obnoszono i nie sprzedawano, w razie danym konfiskują zwierzynę i tym sposobem dbają o dobry stan jej. Nie pomoże jednak ani dozór taki, ani straż łowiecka po wsiach, jak długo kłusownicy chłopi będą mieli odbiorców na zwierzynę w każdym czasie. Przekonaliśmy się naocznie, że w restauracyi hotelu krakowskiego w spisie potraw w miesiącu Lutym, Marcu i Kwietniu umieszczony jest zając, kuropatwa. Dostanie ich też w niektórych prywatnych domach, rozumie się tam, gdzie gospodarz niemyśliwy, podają na stół w powyższych miesiącach pieczonego zająca i pełne półmiski kuropatw. Naglącą potrzebą jest, aby się w miastach oddziały Towarzystwa łowieckiego potworzyły. lub w większych miastach po kilku delegatów gal. Tow. łow. ustanowieni zostali, i aby ci przekupniów i publicznych restauratorów ściśle dozorowali, a w danym razie politycznej władzy do ukarania wskazywali.

W. U.

INSERATY.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.